

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



W NUMERZE: Drogi do niepodległości (2) • Październik 1956 a literatura polska (2) • Pomoc pomagającym! • W domu naszych pradziadów • Cenniki — Nobel '81 • Wołodia Wysocki już nie zaśpiewa • Recenzje • Felietony

NR 47 (1250) ROK XXIV

22 LISTOPADA 1981 R.

CENA 7 ZŁ

RYSZARD BINKOWSKI

JEDEN DO PIĘCIU

(CZYTAJ STR. 4—5)



„Chłopy pięknie metalowa rurka, obsunie się komin, lub zawali chatupa. Jak nie sprzeda świń, to nie dostanie materiałów budowlanych?”

po żołniersku

Eugeniusz Iwanicki

Pierwszy solidny tej jesieni przymrozek. Ziębnięty ładuje się do wojskowego łazika, którym Wojskowa Grupa Operacyjna udaje się w tak zwany teren. Major ZDZISŁAW MALAK pociesza, że mimo brezentowego dachu, wewnątrz samochodu będzie ciepło. Zresztą trasa jest krótka: Nowosolna i Andrespol.

Zaraz za rogatkami Łodzi pierwszy postój. Przed przejazdem kolejowym nr 18 Stoki — Nowosolna, w zarośniętych zbutwiałą trawą krzakach, stoją cysterny i wagony.

— Niech pan przyjrzy się tym torom — mówi mjr Malak — Zapadły się w ziemię, zarosły do cna, a w poprzek nich położono nową nawierzchnię drogi. Te cztery cysterny, dwa wagony i 4 podwozia wagonowe nigdy stąd nie odjadą. Zostały skazane na zniszczenie.

— Czy ustalił pan do kogo należy porzucony tabor? — Do wagonowni Janów. A tam, widzi pan? Jeszcze jedna cysterna, prawie pod samym przejazdem. A tu, na prawo, stoi cały skład wagonów.

Dróżniczka Maria Bartosiak, zapytana czy pamięta od jak dawna postawiono w krzakach cysterny i wagony, kręci głową i rozkłada ręce.

— Coś mi się wydaje, że one tak stoją już z pół roku albo i dłużej.

— Kto je postawił?

— Pewnie ci z wagonowni, że niby do remontu. Pytam majora czy złożył w tej sprawie odpowiednie

domiesienie. Taki złożył. I dopilnuje, żeby jak najprędzej zabrano stąd marniejący tabor kolejowy.

Ledwo ujechaliśmy parę kilometrów, a ponownie mam możliwość oglądać wynik interwencji Wojskowej Grupy Operacyjnej. Pomiedzy Andrespołem a Nowosolną, wzdłuż drogi, pracują robotnicy i żołnierze z OTK kopiąc rów i kładąc kabel telefoniczny. Od kilku lat wymienione wyżej miejscowości zabiegały o bezpośrednie połączenie telefoniczne. Wojewódzki Urząd Telekomunikacji nie reagował. Naczelnik z Nowosolnej jeśli chciał porozumieć się z naczelnikiem z Andrespola — zamyślał rozmowę przez centralę międzymiastową. I czekał cały dzień na połączenie.

— Uznałem, że tak nie może być — mówi major. — Przecież miejscowości te są oddalone od siebie zaledwie o 8 kilometrów. Przycisnąłem dyrektora Romanowskiego z WUT. 4 listopada dokonano rekonesansu terenu wspólnie z geodezją, służbą rolną i przedstawicielem telekomunikacji. 5 listopada wprowadzono koparki łańcuchowe, a 10 br. pośpieszyło z pomocą wojsko z OTK. Do dziś położono 2 km kabla, a za dwa, trzy tygodnie linia zostanie oddana do użytku. Dziwię się, dlaczego nie zrobiono tego przez te wszystkie lata, bo wiem sprawa sama w sobie jest prosta i nie wymaga nadzwyczajnych wysiłków.

Dalszy ciąg na str. 4

WĘGLOWY KONTREDANS TRWA

Jolanta Wrońska

Węgiel spędza nam sen z powiek. Nieliczni, jak J. Kuśmerek twierdzą, że mamy go za dużo i rozbawiliśmy się, celując w marnotrawstwo i rozrzutność. Zmarznięta większość w głowę zachodzi, jak to jest, że mocarstwo węglowe nie może na starczy dla potrzeb ciepłownictwa, energetyki czy rolnictwa. Żeby polapać się w tym zamieszaniu, trzeba przypomnieć fakty podstawowe.

W najlepszych czasach dla statystyków, zasypywano nas 200 milionami ton węgla rocznie. Wliczano w to muły, kamień i całą resztę, liczył się tonaż. Z tych statystycznych 200 mln ton, 20 proc. szło na eksport. Dla kraju pozostawało więc ok. 180 mln ton, i, przynajmniej na papierze, wystarczało dla wszystkich.

Rosły długie państwa, rosła energochłonność potencjału gospodarczego, trwała hossa inwestycyjna. Wszyst-

kie wyliczenia i nadzieje opierały się na węglu. Próby przemodelowania surowcowego gospodarki ginęły w przepastnych szufladach speców, przekonanych, że wzrost wydobycia węgla rozwiąże wszystkie kłopoty. Realizowano więc zasadę — szybciej i więcej co bynajmniej nie znacząco lepiej, mądrzej.

I nagle okazało się, że kolos nie na węglowych ale na glinianych stał nogach. Całymi latami trwał mit, że skoro węgla mamy dużo i jest tani, to i oszczędzać nie ma po co. Dewiza stanu naszej gospodarki mogłaby się stać relacja cen produkcji i dystrybucji węgla. Jeśli za tonę płacono się na rynku ok. 500 zł, a przeciętny koszt wydobycia jednej tony (zależny od warunków naturalnych danej kopalni), wahał się w granicach 1 do 2 tys. zł, to krach stawał się tylko kwestią czasu.

Ten obraz ogólny należy uściślić o system organizacji pracy górnictwa.

Nim zaczął się spór o węgiel, wszystkie kopalnie pracowały w systemie trzybrigadowym, na trzy zmiany, przez sześć dni w tygodniu. Ponadto pracowała stała obsługa w ruchu ciągłym, konieczna dla utrzymania życia kopalni.

System trzybrigadowy polegał na tym, że każda zmianę obsługiwała jedna brigada, czyli np. pierwsza brigada pracowała od poniedziałku do soboty na pierwszą zmianę, druga tydzień na drugą zmianę itd. Po czym następowała rotacja, tak, że każda brigada w ciągu trzech tygodni obsługiwała kolejno każdą zmianę.

Dalszy ciąg na str. 5

NIE WYSTARCZY JUŻ TYLKO KRYTYKOWAĆ

Rozmowa z JANEM BEDNAROWICZEM — członkiem KC PZPR, zastępcą kierownika oddziału w Zespole Elektrociepłowni im. W.

Lenina w Łodzi.

— Każdy członek partii ma jakieś wyobrażenie o władzy partyjnej wyższego szczebla. Kiedy między tą władzą a organizacjami partyjnymi nie ma ścisłych więzi, wtedy często używa się pojęć: „my” — to znaczy członkowie partii oraz „oni” — to znaczy władza partyjna, którą utożsamiało się również z aparatem partyjnym. Jak to jest dziś, kiedy w demokratycznych wyborach zmieniły się władze partyjne i weszło do nich wielu robotników? Teraz powinniśmy wszyscy zgodnie mówić: „my”. Czy tak jest w Istocie?

— Trochę już wiedziałem o pracy KC przed IX Zjazdem partii, bo byłem sekretarzem KZ i musiałem wtedy — zgodnie z wolą organizacji partyjnych — kontaktować się z członkami KC. Wiedziałem więc już, że głos na posiedzeniach KC zabiera się według pewnego klucza. Na przykład z Łodzi powinna zawsze mówić kobieta, no bo Łódź jest włókiennicza i jest to głos łódzkich włókienników.

Ale wtedy nigdy nie przypuszczałem, że może się tak stać, że ja będę członkiem tej najwyższej władzy partyjnej. Organizacja partyjna Zespołu Elektrociepłowni postanowiła od razu wybrać własnego delegata, ale potem i tak przeszedłem wszystkie szczeble wyborów zanim zostałem delegatem na IX Zjazd. W Zespole Delegatów jako jedyny energetyk przeszedłem przez prawybory i tak już jakoś zostało.

— I teraz nastąpiła konfrontacja wyobrażeń z rzeczywistością. Co z tej konfrontacji wynika?

— Przede wszystkim to, że dziś władza nie jest już luksusem. Ludziom się często zdaje, że mamy taki miód. To jest trudna i skomplikowana praca.

Z jednej strony Biuro Polityczne i Sekretariat KC muszą się liczyć z KC. Każde ich działanie, każda propozycja spotyka się z określoną reakcją członków KC. Nie przechodzi bez echa.

Z drugiej strony, choć od IX Zjazdu upłynęło nie tak znów wiele czasu, to przecież KC zrobił w tym czasie tyle, że trudno było to sobie przedtem wyobrazić. — Zmienił się styl pracy Komitetu Centralnego. W czym to się wyraża?

— Już choćby w tym, że dziś nikt nie przygotowuje wcześniej uzgadnianych wystąpień, że do dyskusji zgłasza się więcej osób, niż może w ogóle zabrać głos. Poza tym, że — tak jest w naszej grupie, nie wiem, jak to jest wśród członków KC z innych województw — mamy lidera, który w danej sprawie ma zabrać głos w naszym imieniu, że konsultujemy nasze wystąpienia.

— Czy nie jest to ograniczanie swobody wypowiedzi? — Nie podobnego. Jak ktoś chce zabrać głos poza uzgodnieniami, to nikt mu tego nie broni. Chodzi tylko

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg ze str. 1

o to, że zapisanych jest do głosu dużo chętnych, a zabierać może mniej, więc żeby nie zaprzepścić szansy powiedzenia tego, co do powiedzenia mamy.

Na ostatnim posiedzeniu lekarz z Warszawy zarzucił manipulację zgłoszeniami do dyskusji, bo on już od trzech plenarnych posiedzeń KC prosi o głos w imieniu środowiska lekarskiego, a nie może tego głosu otrzymać.

— Czy wobec tego posiedzenia plenarne nie powinny być dłuższe?

— Opinie są różne. Jak obrady się przedłużają, to wstają rolnicy i mówią, że my tu sobie gadamy, a tam na nich czeka robota w polu, bo ludziom trzeba dać jeść.

— I trudno im odmówić racji.

— No właśnie. Ale z drugiej strony nie wiadomo, czy ci, którzy nie dobijają głosu nie mają przypadkiem do powiedzenia coś ważniejszego i istotniejszego niż ci, którzy głos zabierali.

— Mogą swoje przemówienia złożyć do protokołu.

— I to robią, ale to już mimo wszystko ma inne znaczenie.

— Dlaczego?

— Już choćby tylko z tego powodu, że głos na plenarnym posiedzeniu może mieć wpływ na kształt uchwały, a głos złożony do protokołu takiego wpływu mieć nie będzie.

— Czy zmieniła się technika przygotowywania uchwały?

— Ona się dopiero zmienia. I to jest sprawa bardzo ważna. Uchwały przygotowywano wcześniej i nie wiadomo było, kto to robi. Przed IV Plenum też dostaliśmy projekt uchwały, ale uznaliśmy, że jest fatalny. Ja z upoważnienia łódzkiego członka KC, zgłosiłem wniosek o odrzucenie projektu, powołanie komisji, która przygotuje uchwałę niejako od zera. I tak się stało. Ale to nie wszystko, bo przy okazji wyłknęła sprawa składu komisji. Zakwestionowaliśmy taki skład komisji, do której wchodziły również nieczłonkowie KC. Ustalono — po burzliwej dyskusji — że po IV Plenum w skład komisji KC do różnych spraw mogą wchodzić tylko członkowie KC. To nie znaczy, że zapraszać, w tym i specjaliści, nie mogą brać udziału w pracach komisji jako eksperci. Ale tylko jako eksperci.

Już na drugim posiedzeniu zażądaliśmy, aby uważniej przyjrzeć się aparatowi partyjnemu, bo powstała taka sytuacja, że wybieralna władza zmieniała się a aparat nie. Nasze żądania były jednak blokowane. Dopiero na V Plenum KC przedstawiono do zatwierdzenia listę kierowników wydziałów KC. Poprosiliśmy o charakterystykę proponowanych kierowników. Kandydaty odpowiadali na pytania. Moze nie wszystkich dokładnie przepytaliśmy, bo coś tam nie do końca wyjaśniło się z tow. Gabrielskim w sprawach wymaganego stażu pracy. Ale my się dopiero uczymy.

— Brakuje wam jeszcze niezbędnego doświadczenia?

— Tak. Trzeba dokładnie znać Statut, umieć go na pamięć. Musimy w szybkim czasie nabrać tego doświadczenia, bo często stajemy przed jakąś sprawą kierowaną pod adresem KC i niezbędna jest szybka reakcja, jasne stanowisko i musi być zgodne ze Statutem.

Na sali jest taka atmosfera, że czujemy się silni, możemy wszystko przeprowadzić, ale nie zawsze jest na to czas i nie zawsze umiemy też właściwie reagować. Na przykład uważamy, że uchwały — oczywiście nie wszystkie, ale te kierunkowe — powinny być konsultowane w dużych organizacjach partyjnych.

— Tego domagają się również członkowie partii.

— Trzeba jednak pamiętać, że do IV Plenum uchwały powstawały poza salą gdzie obraduje KC. Nie wiem nawet, czy brano pod uwagę wnioski z dyskusji. Teraz to się zmienia. Potrzebę konsultacji trzeba zawsze mieć na uwadze.

— W partii jest silnie akcentowana potrzeba kontrolowania mandatariuszy, żeby oni wyrażali poglądy i opinie partii. Dobrze, ale przecież są to ludzie, którzy też mają własne poglądy. Jak to wygląda w praktyce, ta podległość wyborcom i kontrola z ich strony, a możliwość reagowania na bieżące problemy które przecież mogą i powstają na sali obrad KC, bo wynikają z życia?

— To są trudne sprawy. Na IV Plenum KC członkowie KC z Łodzi chcieli wnieść poprawkę, która jednak nie przeszła. Głosowali więc za całością uchwały i musimy się jej podporządkować. Ale, jak wracam do pracy, to już mam mycie głowy, pretensje. Przy ja-

kiejs niepopularnej decyzji mam ochotę nie iść do pracy, bo wiem, co mnie tam czeka. No, ale spoczywa na mnie jakaś odpowiedzialność.

Jak to rozumiem? Rozumiem to tak, że jestem czymś w rodzaju posła partyjnego parlamentu i muszę w tym partyjnym parlamencie reprezentować opinie i interesy moich wyborców. Ale muszę też samodzielnie już na sali decydować i ponosić odpowiedzialność za te decyzje, czy akurat jest czas i pora, aby z takimi czy innymi sprawami wychodzić, aby podawać je pod osąd opinii KC.

— Czy to nie przeszkadza, to ciągle poczucie kontroli przez wyborców? Przecież działacz tego szczebla musi mieć jakiś margines na działanie samodzielne?

— Samodzielność powinna obowiązywać w myśleniu, w podejmowaniu decyzji wtedy, kiedy to jest konieczne. Ale musi być stała, nieustanna, nierozdzielna więź z członkami partii. Musi być płaszczyzna dla wymiany poglądów. My jesteśmy ciągle zapraszani do organizacji partyjnych, słuchamy głosu partii, poznajemy poglądy, krytyczne uwagi na temat

wielu organizacji partyjnych. Po Zjeździe wszystko to jakoś „siadło”. Co było tego przyczyną?

— Różnie próbuje się to tłumaczyć. Jest faktem, że po każdym konstruktywnym działaniu partii zaraz włącza się opozycja. Tak było po IX Zjeździe. Tak jest teraz po IV Plenum KC.

Warto również pamiętać, że przed IX Zjazdem partia miała konkretny cel: dokonać wyboru nowych władz. I to się stało. Drugi cel — to program, to statut. Trzeci — rozliczenia. O programie różnie się mówi. Nie wszyscy zgadzają się z traktowaniem uchwały IX Zjazdu jako zarysu programu.

— Są przecież postanowienia w sprawie wychodzenia z kryzysu, konkretne zalecenia dla rządu.

— No tak, ale inni chcieliby jaśniej i konkretniej postawionych zadań.

— Czyżby tęsknota za silną władzą? Czy nie jest to w jakiś sposób sprzeczne z dążeniem do demokracji w partii?

— Coś w tym jest. Tylko, jak rozumieć ową silną władzę? Czy to ma być konsekwencja w działaniu? Nie ma w tym nic złego. Czy to

Nie wystarczy już tylko krytykować

pracy KC, Biura Politycznego, Sekretariatu, władz partyjnych województwa, poszczególnych ludzi. Spotykamy się z delegatami na IX Zjazd w ramach Wojewódzkiego Zespołu Delegatów. Tam też dokonujemy wymiany poglądów, ustalamy nasze stanowiska na plenarne posiedzenia KC, które wynikają z naszych kontaktów z organizacjami partyjnymi. Tak, że to jedno drugiemu nie przeszkadza, przeciwnie — pomaga nam uczyć się, pomaga wyrażać głos partii.

— W Biurze Politycznym są też robotnicy, czy oni mają również takie szerokie kontakty z partią?

— Na IV Plenum KC pytaliśmy też o to. Co robią w Biurze Politycznym, czy tylko stanowią tło dla innych, czy też sami mają swoje zdania i je reprezentują? Czy zawsze biorą udział w posiedzeniach? Nie usłyszelśmy odpowiedzi. Wiem, co, prawda, że towarzysze ci spotykają się z różnymi organizacjami partyjnymi, z aktywem. Mają więc kontakt z partią, ale jak go spożytkowują — tego nie wiem.

Sądze, że trzeba będzie spotkać się z czwórką robotników z Biura Politycznego i porozmawiać z nimi, aby dowiedzieć się, jak rzeczywistość się wykorzystywani. Chcielibyśmy wiedzieć na przykład, czy prezentują na posiedzeniach Biura Politycznego KC głosy dołów partyjnych, czy je znają, czy konsultują się z organizacjami partyjnymi przed ważnymi posiedzeniami.

— Czy częstotliwość plenarnych posiedzeń KC jest dobra?

— Przyjęty plan przewiduje, że Komitet Centralny powinien zbierać się przynajmniej raz w kwartale. Zbiera się — jak wiadomo — częściej, prawie co miesiąc. Następne plenarne posiedzenie KC przygotowuje się pod koniec listopada.

— To są posiedzenia plenarne, ale Komitet Centralny między tymi posiedzeniami powinien pracować poprzez swoje komisje. Jak to wygląda?

— Są narzekania na pracę komisji KC. Ja też mam z tym kłopoty. Mam pracować w Komisji Ideologicznej KC, ale do tej pory nie byłam ani na jednym posiedzeniu. I zupełnie nie wiem, dlaczego. Interwiewowałem już u tow. Namotkiewicza, który jest za te sprawy odpowiedzialny. Zobaczymy jaką będzie tego skutek.

— Przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem partii można było obserwować ożywioną działalność

ma być działanie wedle instrukcji? A to już zupełnie coś innego i to nie ma nic wspólnego z silną władzą w partii, a wręcz przeciwnie.

Irytuje mnie na przykład tacy sekretarze, którzy publicznie straszą, że ich członkowie oddadzą legitymacje. Cóż to za członkowie, coż to za sekretarze? Ma uchwały KC i nie potrafi do nich przekonać ludzi, albo wytłumaczyć im, że nie wszystko robi się za jednym zamachem, że potrzeba czasu, żeby jeszcze poczekali.

Spotykam się też z takimi pytaniami: jak by towarzysz postąpił w takiej i takiej sprawie w swojej organizacji?

— I co?

— Nic. Proponuję, aby sobie poczytali uchwałę i pomyśleli, co z tego dla nich wynika i jak się mają wziąć za konkretne zadania, jakie sobie sami postawią.

No, bo jeśli członek KC ma chodzić po organizacjach partyjnych i uczyć ich, co mają robić, to chyba jest to grube nieporozumienie.

Z moich obserwacji i kontaktów wynika, że w partii są reprezentowane trzy postawy. Pierwsza — stać z boku i czekać, co z tego wyniknie. A potem dostosować się do rzeczywistości. Jest to postawa bardzo bezpieczna, bo się tak kłóć nikomu nie narazi, żadnego błędu nie popełni. Druga postawa — to robić nie czekając na instrukcje, polecenia. Podejmować ryzyko działania. To jest najtrudniejsza, ale są tacy i jest ich coraz więcej. Trzecia — bardzo powszechna — to krytykować. Dziś można krytykować bez żadnego ryzyka. I tak się robi. Krytykuje się od góry do dołu i od dołu do góry. Wszystkich i wszystko. To nawet zjednuje popularność i można — jak się mówi — „robić za odwagę”. Na jednym zebraniu KZ wysłuchałem takiej krytykującej towarzyszeki, która zarzucała, że w partii znów się robi po staremu. Moze i tak, ale zapytałam, a co trzeba robić, aby było po nowemu? Nie umiała na to odpowiedzieć. Nie miała żadnych propozycji.

A wracając do pytania, dlaczego po IX Zjeździe partia „siadła”, to myślę, że również dlatego, iż dziś nie wystarczy już krytykować, że trzeba też szukać sposobów działania w tak trudnych warunkach. To nie jest łatwe i partia musi dziś się tego uczyć niemal od początku. Przed IX Zjazdem jednak głównym nurtem była krytyka zła i błędów. Dziś trzeba szukać pozytywnych rozwiązań, podejmować ofensywne działania. Teraz, po IV Plenum KC, to się powolutku jakby zaczęło zmieniać.

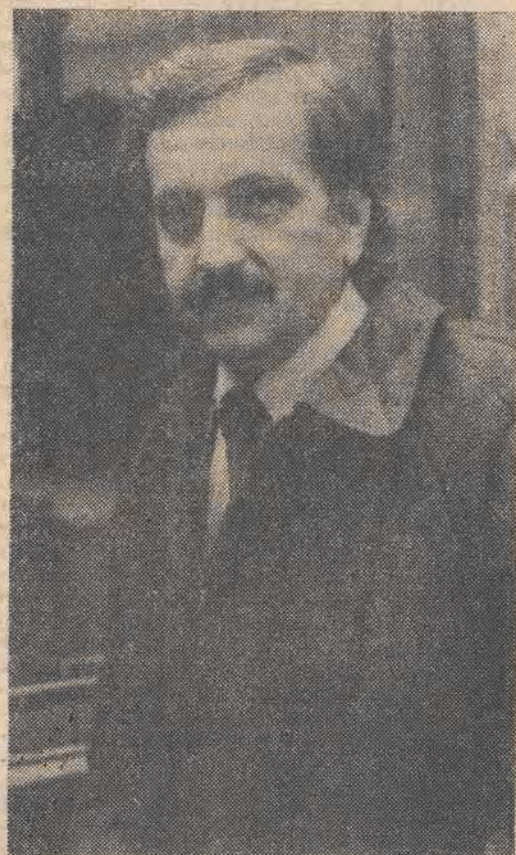


Foto: M. Widerkiewicz
JAN BEDNAROWICZ: „...dzis władza nie jest luksusem”

I jeszcze jednak sprawa — rozliczenia. Zjazd zamknął jakiś etap rozliczeń, ale ich nie doprowadzono do tej pory do końca. Ludzie to drażni. Ludzie chcą mieć moralnie jasną sytuację. To też obniża aktywność. Ale myślę, że i z tym się jakoś uporamy.

— Jak u was przyjęto ten punkt uchwały IV Plenum KC, który mówi o samookreśleniu się?

— Różnie to sobie ludzie tłumaczą. W moim zakładzie nie było jednak przypadku, aby ktoś występował z „Solidarności”, bo to nie o to przecież chodzi.

Słyszałem jednak, że niektóre egzekutywy prowadziły rozmowy, pytając, gdzie członkowie partii i „Solidarności” chcą pozostać: tu czy tu? Dla mnie to nieporozumienie. Tam, gdzie są robotnicy, tam musi być i partia. To nie jest ważne, do jakiego związku zawodowego kto należy, pod warunkiem, że przestrzega statutu partyjnego, realizuje program partii i podporządkowuje się partyjnym uchwałom. Partyjni robotnicy powinni być w „Solidarności”, powinni tam działać jako członkowie partii. Takie jest moje zdanie.

— Ludzie występują jednak z partii.

— Występują. Jeśli chodzi o naszą organizację zakładową, to występują z niej na ogół ci, którzy powinni wystąpić. Ich nie żałujemy. Są to ludzie, którzy wstąpili do partii, aby szybkość dosłużyć się awansu, mieć przywileje. Jeżeli ci ludzie wstępują teraz do „Solidarności”, albo znaleźli się tam wcześniej, to ta organizacja też nie będzie z nich miała większego pożytku, bo nigdy nie ma pożytku z ludzi, którzy gdziekolwiek wstępują z pobudek koniunkturalnych a nie ideowych. Szkoda tylko, że czasem z partią żegnają się ludzie ideowi, uczciwi, do brzy robotnicy, którzy załamują się, przeżywają osobiste tragedie, którzy takim gestem protestują przeciw dawnym błędom i dzisiejszym niepowodzeniom.

— Czego można życzyć członkowi KC, członkowi bardzo zajętemu, ciągle spotykającemu się z organizacjami partyjnymi a poza tym wykonującemu swoje obowiązki zawodowe?

— Tego, czego życzy się wszystkim ludziom. Żeby wreszcie był spokojny w kraju. Żeby dogadali się wreszcie ci, którzy powinni się dogadać. Najważniejsze nie dopuszczać do zaognień. Żeby słowo konfrontacja wyszło z naszego codziennego słownika. I żeby pracować nie tylko KC, ale coraz silniej cała partia.

— Więc tego wszystkiego życze.

— Dziękuję.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

PYTANIE O DEMOKRACJĘ

Rzecz, o której mowa niżej, od dawna mnie drażni. Chodzi o zupełnie spalone w naszym kraju pojęcie demokracji. Nie zamierzam zajmować się całym tym ogromnym tematem, chcę tylko wykazać, że powojenna propaganda, skądinąd przepełniona hasłem „demokracja” zupełnie fałszywie je interpretowała. Według tego co mówiono i pisano, demokracja polegała m. in. na tym, że każdy może zostać do wyboru: inżynierem, lekarzem, skrzypkiem, słynnym sportowcem, aktorem itp. Otóż nie może. I nie na tym polega demokracja. Moim zdaniem istnieje ona wtedy, gdy w społeczeństwie funkcjonuje autentyczne przekonanie, że kierowca jest w istocie równy dyrektorowi, któ-

rego wozu, przy czym każdy z nich jest do czego innego.

Powie ktoś, że w naszym kraju nastąpiło skrócenie dystansu między ludźmi różnych zawodów i różnych cenzusów. To prawda, ale skrócenie dystansu nie oznacza jeszcze demokracji. Jeżeli docent zachowuje się normalnie wobec pracownika administracji, to ten człowiek uważa docenta za „ludzkiego pana”. A rzecz w tym, żeby tak nie myślał. Pracuję w politechnice i wiem, że brak prawdziwej demokracji doprowadził do napięcia między nauczycielami akademickimi, a personelem inżynierskim i administracyjnym. Winne są trochę obie strony, ale główny winowajca — to pogląd, że lu-

dzie są równowarci tylko wtedy, gdy mają ten sam tytuł czy stanowisko.

Szczególne spustoszenie czyni kompleks niższości u ludzi, którzy przyjęli wyżej określone hasło propagandowe, a nie zostali ministrami, profesorami ani dyrektorami — a przecież mogli, bo może każdy...

Wracając do konkretnego przykładu w znanej mi dziedzinie: ogromny pęd wszystkiego co żyje, na wyższe uczelnie w Polsce Ludowej. No bo skoro każdy może być inżynierem...

Efekt jest taki, że mamy w kraju wielu inżynierów i magistrów którzy nie mają predyspozycji do swych specjalności i albo zmienili zawód, albo męczą siebie i otoczenie w prawidłowych papierkowo miejscach pracy.

Zdaje sobie sprawę, że jedynie dotykam problemu i ciekaw byłbym wypowiedzi specjalisty na ten temat.

Tym niemniej jednak uważam, że najwyższy czas, by demokracja oznaczała faktyczną równość wolnych, godnych ludzi, a stanowiska i tytuły stanowiły jedynie klucz do skutecznego wykorzystania ich predyspozycji w pracy dla wszystkich.

LECH BRZESKI

ODGŁOSY 3

O TYM SIĘ MÓWI. CO O TYM SĄDZISZ?

Dalszy ciąg ze str. 1

Na placu Gminnej Spółdzielni w Nowosolnej ruch jak w dzień targowy: wydają węgiel. Ledwo wysiedliśmy z „łazika” a już podbiega jakiś chłopina i prosi żeby go podrzucić do domu, bo tak się złożyło, że przyszedł tu pieszo i na wszelki wypadek zajął na podwórko GS. A tu węgiel! Niech pan major zezwoli kierowcy, on przecież mieszka niedaleko. Zaprzęgnie konia i migniem będzie na placu.

Major Malak zezwala. Wchodzimy do magazynu GS. Prawie pusty. Skup kuleje. Na podłodze raptem około 12 ton żyta i kilka ton ziemniaków.

Łatwo się zorientować, że major Zdzisław Malak jest tu postacią znaną, ludzie czekają na jego przybycie. Przychodzą ze swoimi, często zadawnionymi, sprawami, których nie potrafił załatwić przez lata. Wierzą, że teraz dojdą swojego, że zostanie przyznana im racja. Z reguły są to sprawy leżące w gestii Urzędu Gminnego. Spółdzielni Kółek Rolniczych czy Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Niejednokrotnie wynikają z nieudolności urzędników, z ich opieszałości lub zwyczajnej niewiedzy. Zresztą informacja o ośrodkach wiejskich pozostawia wiele do życzenia. Rolnicy nie bardzo wiedzą co im przysługuje, jak to jest z tymi zamiennikami, gdzie i co mają otrzymywać. Ale i są sprawy poważniejsze. Oto skarga Mariana Soldona z Lipin i Stefana Fijałkowskiego. Oba ponieśli poważne straty. Watahy dzików zniszczyły im pola ziemniaczane. Soldonowi PZU oszacował straty na 80 tys. zł. Fijałkowski z 56 arów nie zebrał ani kilograma. Podobne skargi składają mieszkańcy Ksawerowa, Barchówka, Natolina. Nie pomagają pilnowanie i dyżury w nocy. Wataha 15 — 20 dzików nie boi się ani ludzi ani psa.

— A myśliwi? — pytam. — Nie macie tu kół myśliwskiego?

— Mam, a jakże. Ale lasy wiatczyńskie, cały 1000-hektarowy obszar, to teren łowiecki ministra leśnictwa. Minister poluje tu raz lub dwa razy do roku, innych myśliwych się nie wpuści. Nie pomagają skargi do nadleśnictwa w Grotnikach z siedzibą w Proboszczewicach. Nie można i już.

— Co pan na to? — pytam majora Malaka. — Nasza propozycja jest prosta: przydziel ten teren miejscowemu kółu łowieckiemu. W tej sprawie podjęto już odpowiednie kroki.

Skarga Teodozji Ciapy z Natolina jest innego rodzaju: przyszła zapytać dlaczego jest wyrzucana i łajana w Urzędzie Gminnym przez osobę kierującą wydziałem handlu? Jest sprzątaczką, zaczęła się budować. Z tym są związane pewne formalności, które musi załatwić w Urzędzie Gminnym w Nowosolnej. A jak się tylko tam pojawi, nie dość, że nie chcą z nią rozmawiać, to jeszcze ją obrażają. Major Malak skrupulatnie notuje. Obcuje wyjaśnić dlaczego pani kierująca wydziałem handlu jest ordynarna. A że jest, potwierdzają inne osoby będące w pokoju, gdzie toczy się rozmowa. Major Malak notuje także i to, że w Zbiorczej Szkole w Nowosolnej nie ma stomatologa, że panuje tam niesamowity brud, że dzieci toną w przepelnionych ubikacjach. Zapisuje także sprawę tzw. pałacyku Jarosława Iwaszkiewicza, który znakomity pisarz otrzymał od rządu w 1972 roku, i który od tamtego czasu jest ciągle w remoncie, choć Iwaszkiewicz już nie żyje, a ludzie z PGR Byszewo mieszkają w okropnych warunkach. Dotychczas remont i adaptacja pałacyku pochłonęły już 3,5 mln zł, szacuje się, że trzeba dolożyć jeszcze co najmniej półtora, by zakończyć roboty. A co potem? Kto to przejmie? Kogo tam osiedlić?

Notatki pokrywają stronę za stroną w notesie: dlaczego marnuje się 120 ton paszy w magazynie, a naczelnik nie pozwala jej sprzedawać? Dlaczego arbitralnie podejmuje decyzje o przydziale ziemi z PFZ wbrew postanowieniom samorządu a często i bez jego wiedzy? Pytań przybywa, mnożą się niejasności. A tu trzeba jeszcze pojechać do SKR wyjaśnić uprzednio złożoną przez jednego rolnika z Kraszewa skargę, potem wstąpić do Urzędu Gminnego w Andrespolu...

— Co to za skarga? — pytam majora. — Czyżby nadużycia w SKR?

— Lech Kunikowski z Kraszewa będzie skarżyć PGR o niezebranie z jego pola kukurydzy.

— Dużo tego?

— Dwa hektary do dziś gniją na deszczu. Pytam prezesa SKR Mariana Korzeniowskiego, kiedy zamierza posłać do Kraszewa sprzęt, bo przecież Lech Kunikowski jeszcze latem zgłosił chęć wypożyczenia kombajnu i uzyskał na to zgodę.

— Nie mogliśmy tam wjechać, bo teren nie jest zmeliorowany, grząski. Ciężki sprzęt utonąłby w błocie.

— We wrześniu nie było deszczu...

— Proszę pana, myśmy skierowali nasz sprzęt na tamten teren, ale kierownik filii SKR w Natolinie źle rozplanował pracę. Zamiast zacząć sprzątanie kukurydzy z terenów położonych niżej, ustalił po prostu kolejność i więcej się tym nie interesował. No i kiedy przyszła kolej na Lecha Kunikowskiego, okazało się, że jego grunty są pod wodą.

— Rozumiem, że te dwa hektary skazane są na straty.

— Podjęliśmy dwie decyzje: kierownik filii

sołtysami. Przyszło czternastu. Siedzieli prawie do nocy. I znów musiał wyjaśniać, interpretować zarządzenia, przekonywać. Oto „Solidarność” Rolników Indywidualnych skierowała apel do rolników, by w związku z podniesieniem opłat PZU nie płać czwartej raty podatku gruntowego. Sołtysi uważają, że taki apel jest szkodliwy, bo niektórzy mimo to chcą ten podatek uiszczyć. Natomiast tych, którzy się od tego uchyla, postulują, by solidnie ukarać. Major zaapelował o rozsadek i prosił, że jeśli ktoś będzie chciał zapłacić czwartą ratę, należy niezwłocznie pieniądże przysłać. Natomiast żadnych sankcji wobec pozostałych.

Sołtysi mieli także zastrzeżenie co do dnia skupu. W Andrzejowie takim dniem jest piątek. Potem jest wolna sobota, następnie niedziela. Przez te dni świnię i krowy tracą na wadze. Np. 26 października kupiono w GS w Nowosolnej 4 konie rzeźne eksportowe, które trzymane do nocy 30 na 31 października i dopiero potem przewieziono je do Wrocławia, gdyż tam znajduje się jedyny punkt skupujący takie konie z całego kraju.

parniki. Jest hodowcą, ma kilkadziesiąt sztuk trzody i tylko jeden parnik 60-kilogramowy. Żeby nakarmić swoje świnki, trzykrotnie musi gotować ziemniaki, czyli praktycznie nie odchodzić od parnika. Wciąż pyta, czy może otrzymać większy, powiedzmy, 100-kilogramowy. W odpowiedzi usłyszał, że nie może, że GS ma przydzielone zaledwie dwa parniki i nikt nie wie o jakiej pojemności. A do tego w aktach leży lista tych, którzy się od niepamiętnych czasów zapisali na parniki. W sumie jest 50 nazwisk. Hodowca oburzył się, zaczął mówić, że on odstawia przecież każdorazowo po kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt sztuk trzody. Ale za to nie chce żadnego telewizora kolorowego, nie chce pralki automatycznej ani innego cudu techniki. On to wszystko ma od dawna. On za swoje świnię chciałby kupić boiler, taki zwyczajny zbiornik, kosztujący niecałe trzy tysiące złotych. Czy pan major może mu w tym pomóc?

Teraz, tu, w Andrespolu ta sprawa powraca.

— Dla naszej gminy — mówi naczelnik — zgromadzono już artykułów przemysłowych na sumę 1,2 mln zł. I to wszystko leży.

— Może jednak coś się ruszy, niedługo święta.

— Niemożliwe. Stosując oficjalny przelicznik jeden do pięciu, to znaczy, że za 5 tys. złotych otrzymanych za odstąpienie żywności rolnik może kupić w sklepie towaru za tysiąc złotych, sprawa jest zupełnie niemożliwa.

— Dlaczego?

— Aby wykupić istniejący towar nasza gmina musiałaby odstawić 700 sztuk trzody. I to w krótkim czasie, bo zaledwie w ciągu sześciu tygodni. A czy pan wie ile wynosi u nas skup? 15 sztuk w ciągu dwóch tygodni! I to jeszcze jak dobrze pójdzie.

— Czy mógłby pan powiedzieć ile świni trzeba odstawić jeśli chce się nabyć, powiedzmy, lodówkę?

— Zależy jaką, ale przeciętnie trzeba przywieźć do punktu skupu 5 świni. Za parnik — 1 świnię, za kolorowy telewizor produkcji radzieckiej — 10 świni, tyleż samo za pralkę automatyczną.

— Zaraz, zaraz, coś mi tu nie pasuje. Mówił pan, o...

— Ano właśnie. Przy niektórych artykułach ten przelicznik gwałtownie rośnie, czasem dochodzi nawet do 1 do 20. Niestety, ludzie nie chcą tych rzeczy. Na zebraniu wiejskim w Bedoniu Wsi domagano się przede wszystkim parników, widel, wiader i tańszych do wiązania krow. Do tego jeszcze ta sezonowa obniżka ceny skupu bydła z 75 zł za 1 kg na 70 złotych.

Major Zdzisław Malak notuje. Jeszcze dziś musi złożyć raport w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym z tego, co zrobił, przekazać swoje spostrzeżenia, zaproponować konkretne rozwiązania. Stamtąd wiele z tego trafi do prezydenta Łodzi, część do NIK, jeszcze inne powędrują do Warszawy do odpowiednich ministerstw. I tak codziennie.

W drodze powrotnej, kiedy jeszcze raz dotarliśmy do prac przy linii telefonicznej, nasunęła mi się pewna refleksja natury ogólnej. Dobrze, że takie grupy operacyjne są i działają. Powstaje tylko pytanie: dlaczego dopiero po interwencji grupy sprawy zostają załatwione. Co do tej pory robiły władze lokalne? Przecież obecnie wiele spraw załatwia się od ręki, bez zbędnych formalności i w ramach prawa. To, co od lat walczyli na posiedzeniach zarządu GS czy SKR lub nawet w Urzędzie Gminnym, teraz jest rozwiązywane w ciągu paru minut. Stąd te wszystkie skargi i zażalenia, te tłumy czekające na posłuchanie, płacze, narzekania lub wręcz donosy.

I jeszcze jeden wniosek: co będzie jeśli władze, terenowe przyzwyczajają się, że decyzje za nich podejmuje człowiek w mundurze oficera Wojska Polskiego? Jeśli poczują się zwolnione z obowiązku pracy? Przestaną reagować na ludzkie sprawy?

EUGENIUSZ IWANICKI

PO ŻOŁNIERSKU



Foto: Z.W. Nowak

został dyscyplinarnie usunięty z pracy, a na pole Lecha Kunikowskiego chcemy skierować naszych ludzi, by zebrali choć same kolby. A jak chwyli solidny mroź, maszynami zostanie zebrany suchy susz...

— Jaka jest wartość takiego zbioru?

— Kolby można dodawać do paszy dla bydła, a susz...

— Rozumiem, susz jest bez wartości. A co się stanie jeśli ludzie z SKR nie zechcą ręcznie zrywać kolb kukurydzy?

— Będziemy przekonywać.

— A gdy odmówią?

— Jeśli nie dadzą się namówić, poprosimy dzieci ze szkoły...

Dobry kombajn, powiedzmy KS-1,8 zbiera kukurydzę z 0,5 ha w ciągu jednej godziny, czyli do sprzątnięcia pola Kunikowskiego potrzeba byłoby raptem czterech godzin pracy. Teraz tej sprawie poświęca się kilka tygodni, wreszcie angażuje się przedstawiciela Wojskowej Grupy Operacyjnej. Major Malak zapowiada, że jutro ponownie zjawi się u prezesa SKR. Nic co jest na polu nie może zostać zmarnowane.

Po południu jedziemy do Andrespola. Dzień przedtem major Malak odbył tu spotkanie z

Po konsultacji ustalono, że teraz skup będzie odbywać się w każdy wtorek.

Wyjaśniono także sprawę kontraktacji. Wiele rolników nie odstawało żywcą, bowiem uprzednio go nie zakontrowali. Był to kolejny przykład niedostatecznej informacji. Każdy, kto odstawił żywiec, może w tym samym dniu zawrzeć umowę kontraktacyjną. Kwit jest podstawą do natychmiastowego zawarcia takiej umowy.

Sporo czasu poświęcono opiece nad ludźmi starymi w okresie zimy: przygotowanie ich mieszkań (remonty, uszczelnienie okien itp.), dostarczenie węgla, paczek żywnościowych. Sołtysi mają sporządzić spisy takich ludzi i dostarczyć je Wojskowej Grupie Operacyjnej.

Natomiast w czasie naszej wizyty w Urzędzie Gminnym w Andrespolu wiele mówiono o sprzedaży związanej: żywiec za artykuły przemysłowe. Dziś wiejskie sklepy są zapchane wszelkim dobrem przemysłowym. Tylko brzą. Ale brać nie ma kto. Rolnicy, jakoś się nie spieszą, nie widzi się szturmu na lada sklepowe. Jeśli są kolejką, to po artykuły spożywcze, po nawozy, albo po gwoździe. Przypomniała mi się rozmowa z rolnikiem w GS w Nowosolnej, który przyszedł pytać czy będą

RYSZARD BINKOWSKI

JEDEN DO PIĘCIU

Od pierwszych dni listopada chłopci zaczęli gromadnie nawiedzać urzędy gmin, banki spółdzielcze i prezesa „Samopomocy Chłopskiej”. Rolnicy byli podenerwowani, a urzędnicy wielce stroszeni, zniechęceni lub zgłośli zgorzkniali. Dochodziło do ostrej wymiany zdań. Z obu stron, bez dokładnego wymieniania adresata, padały ciężkie zarzuty.

Chodzi o uchwałę Rady Ministrów przedstawiającą nowe zasady sprzedaży artykułów żywnościowych dla wsi. Rząd zdawał sobie sprawę z jej niedomogów, ale w krytycznej sytuacji na rynku mięsnym założenia uchwały były zasadne i słuszne. Zresztą to sami chłopci domagali się maszyn i sprzętu gospodarstwa domowego za sprzedane produkty. Jednakże życie pokazało, iż najcięższe założenia obmyślane na gorze mogą się okazać niefortunne. Można było tego uniknąć, ale niestety, nowa uchwała nie została wcześniej skonsultowana ani z władzami terenowymi, ani z rolnikami.

W październiku niektóre województwa podjęły decyzję o sprzedaży „wiązanego” dla rolników. Prezydent m. Łodzi postanowił przekazać wsi m.in. 300 ciągników z kasacji i sporo artykułów przemysłowych. I właśnie już wtedy pojawiły się pierwsze sygnały, że coś jest nie tak. Rolnik miał otrzymać maszynę do sżycia (5 tys. zł) za sprzedaż 1 tony żywcia o wartości 100 tys. zł, a telewizor kolorowy za 4 tony o wartości 400 tys. zł.

W gminie Pabianice, kierując się samodzielną zasadami demokracji i sprawiedliwości, zrobiono coś innego. Najpierw plenum KG

PZPR, a potem Gminna Rada Narodowa podjęły uchwałę w sprawie sprzedaży rolnikom deficytowych środków produkcji i sprzętu gospodarstwa domowego. Chłopci mieli prawo zakupu tych artykułów za żywiec, zboże, ziemniaki i mleko sprzedane po 1 lipca br. Przelicznik za żywiec, zboże i ziemniaki miał wynosić 1:5, a za mleko 1:10. I rolnicy przyjęli tę decyzję z aprobatą.

Ale od 1 listopada weszła w życie uchwała Rady Ministrów. Tutaj mówi się o przeliczniku 1:5, ale tylko za żywiec i zwierzęta hodowlane sprzedane w listopadzie i grudniu. Maszyny rolnicze i materiały budowlane miały być sprzedawane wg wcześniej ustalonej kolejności przydziału, ale tylko tym rolnikom, którzy dostarczyli żywiec rzeźny i hodowlany, produkty zwierzęce lub inne produkty rolne, licząc od daty otrzymania przydziału. Jednocześnie minister handlu wewnętrznego zalecił wprowadzenie tych jednolitych zasad w całym kraju.

W tej sytuacji gminne władze partyjne i administracyjne wyszły na zbiorowego anarchiste. Nikt nie chciał wydać im zezwolenia na samodzielne podjęcie decyzji. W mojej obecności sekretarz KG partii, Marechewka łączył się telefonicznie z kierownikiem Wydziału Rolnictwa KŁ, T. Płaską. Krzychał do słuchawki:

— Możecie mnie odwołać, ale my z naszej uchwały nie zrezygnujemy! Nie moglibyśmy ludziom spojrzeć w oczy. Czy po to budowaliśmy „pięścię” mleczny, żeby teraz krzywdzić chłopów, którzy z trudem postawili obory i rozwinęli hodowlę? Niech góra tworzy ramy, a

nam dajcie szkielet! Pozwólcie nam myśleć i działać zgodnie z potrzebami gminy...

Sądziłem, iż usłyszę, że ekstremy z dołów partyjnych torpedują słuszne pociągnięcia władz, ale do tego nie doszło. I chyba dobrze, bo władze w aktywne terenowym mogą jeszcze znaleźć oparcie, gdyż ludzie tam są blisko życia i spraw chłopskich. Uchwała władz partyjnych i GRN w Pabianicach była słuszną i wyważoną, uwzględniającą realia obecnej sytuacji i specyfikę terenu.

Ale po kolei. Niektórym gminom w woj. łódzkim przyznano środki produkcji i sprzęt za 11 mln zł, a gminie Pabianice tylko za 6 mln. Chyba z góry przewidziano że żywcą będzie tu niewiele. Ale skąd ma być, jeśli od lat w ramach „pięścięcia” mlecznego tworzone gminne typowe mlecznizy? Tutaj rolnicy miesięcznie sprzedają państwu mleko za 10 tys. zł (przeciętnie). Czy za to mają być pominięci przy kupnie potrzebnych środków produkcji? A co by się stało, gdyby hodowcy bydła wstrzymali dostawę mleka? Uchwała rządowa nie wymienia mleka, bo eksperci z góry wiedzieli, że chłop mleka nie przetrzyma w zagrodzie. Ale gdyb. „Solidarność Wiejska” zorganizowała dostawę mleka wprost do zakładów pracy, to mógłby stanąć przemysł mleczarski.

W gminie doszł do wniosku, że skoro Łódź brakuje ok 20 tys. ziemniaków jadalnych, to należałoby preferować ziemniaki. Nie wolno. I dlatego chłopci nie odkrywają kopców.

GRN mimo wszystko chce wprowadzić własną uchwałę w życie. Naczelnik, M. Krata, znalazł się między młotem i kowadłem. Z jednej strony chciałby zrobić dobrze dla chłopów i poprzeć GRN, bo wie, że ta będzie go wkrótce powoływać lub odwoływać. Z drugiej strony ma nad sobą wojewodę, który może go odwołać już teraz. GRN upoważniła naczelnika do dostosowania przepisów własnej uchwały do przepisów obowiązujących w województwie. Naczelnik



Foto: R. Łucyszyn

Niedziele były wolne. Teoretycznie. Teoretycznie górnik mógł odmówić pracy w niedzielę, przedkładając czas wolny nad dniówkę. Były jednak na to sposoby. Pierwszy odwoływał się do uczuć patriotycznych. Istniała bowiem instytucja tzw. niedziel planowych, apelowych, tudzież okolicznościowych. Drugi sposób miał zadziałać gdyby pierwszy nie wypalił. Jeśli mianowicie górnik nie chciał zarobić dodatkowego tysiąca zł w niedzielę („czarna” dniówka — 400 zł plus 500 zł extra), to obcinało mu się dużą część, lub nawet całość premii miesięcznej. Znacząco to utraćę ok. 5-6 tys. zł miesięcznie. Ponadto stara Karta Górnika przewidywała wypłatę 13 i 14 pensji, pod warunkiem jednak nieopuszczenia w roku maksimum 6 dni (w tym i wspomnianych niedziel planowych). Wliczane w te 6 dni wszystkie urlopy okolicznościowe, choroby, absencje powypadkowe i inne. Słowem, jeżeli górnik był, nie daj Boże, młody, świeżożeniony, z dzieckiem w drodze i w dodatku bez mieszkania, to chcąc zarobić na rodzinę, musiał pracować na okrągło, świętek, piątek. Musiał też wystrzegać się chorób, pogrzybów i wypadków. Gdy zaś był to górnik stary stażem pracy, z nielegim zdrowiem, często chorujący, wtedy zgnał się z premiami i trzynastkami.

Węglu ciągle jednak było mało. Górnictwo, oczko w głowie byłej ekipy uhonorowanej zostało całym systemem przywilejów, dopłat, talonów itp. Priorytetowa branża paczkowała nowymi nadbudówkami biurowymi. W ręce administracji trafiała większość owych uprzywilejowanych dóbr, co podsycało tylko zniechęcenie załóg kopalnianych. Dla oficjalnie górnik zaczynał się od wyższego doboru w górze. Ten co fedrował na dole, to był po prostu zwykły robot. Gruntownie zwinięto proporcje między kijem i marchewką.

Wszystko to nie wystarczało. Toż w 1979 r. wprowadzono do niektórych kopalń tytułem eksperymentu, tzw. system czterobrygadowy. Nowy model wsparło, a jakże, teoretycznie. Teoria ta, zwana powszechnie metodą prof. Budryka głosiła, iż prowadzenie wydobycia na zawał (kompleksowy odstrzał środkami wybuchowymi całych ścian węglowych), oraz wybieranie tzw. flarów ochronnych, czyli po prostu węglu, na którym stoją miasta, jest dopuszczalne na znacznie szerszą niż dotąd skalę. Dotyczyło to głównie chronionych obszarów pod zwartą zabudowę miejską. W rezultacie spora miast śląskich, jak choćby Bytom, przyzwyczają się powoli do trzęsień ziemi i nagłych ewakuacji.

System czterobrygadowy miał wyśrubować tempo wydobycia do maksimum. Załoga eksperymentującej kopalni pracowała śledem dni w tygodniu, ponadto, wszystkim górnikom przedłożono czarną dniówkę do 8,5 godziny. Wydobycie szło w ruchu ciągłym w ten sposób, że pierwsza brygada pracowała w poniedziałek na pierwszej zmianie, we wtorek na drugiej, w środę na trzeciej, następnie przysługiwali dwa dni wolne i znowu da capo.

Rabunkowa gospodarka złołem, nadmierny wysiłek załóg, brak czasu na remonty, wszystko to powodowało wzrost zagrożenia pracy kopalni, wzrost liczby wypadków i awarii urządzeń.

W takiej sytuacji nadszedł sierpień 1980 roku.

Protokół porozumienia jastrzębskiego

skiego szczególnie podkreślał następujące kwestie:

— Wprowadzenie wszystkich wolnych sobót i niedziel od 1.1.81 r. bezwarunkowe przestrzeganie dobrowolności pracy w dniach ustawowo wolnych, zniesienie systemu czterobrygadowego.

— Uniezależnienie przywilejów (13 i 14 pensja, dodatkowa Karta Górnika), od ustalonych urlopów okolicznościowych, absencji powypadkowej, okresu rehabilitacji, absencji chorobowej (choroby zawodowe).

— Likwidacja talonów na atrakcyjne towary przemysłowe, z jednoczesnym wzrostem ich podaży w normalnej sieci handlowej.

— Zatrudnianie w godzinach nadliczbowych na zasadach pełnej dobro-

zmiany systemu zbiorowego plac. Dowodzą oni, iż wydobycie nie zwiększy się kłębą, lecz lepszą organizacją pracy, technicznym wyposażeniem i oszczędnością. Fundusz spowodował podział wśród załóg na tych co pracują w sobotę i biorą dodatkowy kłęcz bo przecież rodzina czeka, i na tych, co są programowo przeciw, ale biorą bez oporów smalec.

Oliwy do ognia dołączyły późniejsze decyzje zmniejszenia przydziałów mięsa na kartki, objęły one także górników. To dawanie jedną ręką dodatkowego kłęczu za soboty i odbieranie drugą norm kartkowych, wywołało zamęt i wreszcie strajk 7 sierpnia. W jego rezultacie utrzymano poprzednie normy mięsa na kartkach górników oraz wprowadzo-

programowo. Po trzecie — brać, ale na innej zasadzie, tzn. kwotę przyznaną jako zapłatę za sobotę (1727 zł) uznać za normalną czarną dniówkę obowiązującą w całym górnictwie, zaś soboty, bez dodatkowych zachęt, opłacać wg zasady dwa razy 100 proc. (1727 zł x dwa).

Przeprowadzone w kopalniach referendum wykazały niemal równy podział głosów za i przeciw. Takie rozbieżne opinie nie ułatwia manewru ani rządowi, ani „Solidarności”.

Przykładem niech będzie sytuacja w kopalni „DYMITROW” w Bytomiu. Jej dyrektor naczelny mgr inż. Krzysztof Kłmdeński (członek PZPR), wyklada swe stanowisko dobitnie: „W całej tej sprawie chodzi o pieniądze, o pieniądze, w końcu górnicy z tego żyją. Osobną rzeczą jest fakt, że ci co nie mają innych źródeł utrzymania chętniej przyjdą w sobotę niż chłoporobotnicy, bo i tacy są w kopalni. Torpedowanie uchwały od początku było prestiżową rozgrywką, walką z partią, utożsamianą z całym systemem gospodarczym. W naszej kopalni są działacze „Solidarności”, których cała energia skupia się na wykazaniu siabości partii, (omijanie jej w zakładowych akcjach, czy przedsięwzięciach). „Solidarność” obraziła się na uchwałę rządową, bo wykonała gest, bez niepopularnego zaganiania ludzi do pracy, a tu rząd wciska forsy i honor diabli wzięli. To był ruch na konto obu stron. Rządowi pokazano, że docenia się sytuację w kraju i robi się coś dla jej poprawienia. Społeczeństwo — że chroni się jego zadobycie weekendowe. Osobiście uważam, że trzeba dokonywać ciągłego rozróżniania wewnętrznie „Solidarności”. Większość członków to bierna rzesza, która ciężko doświadczona, obdarzyła zaufaniem nowy związek. Polityka centrali niekoniecznie musi się ludziom podobać, ale trwają przy związku z rezygnacją, bo już nie ufają nikomu. Wiedzą, że strajk jest głupstwem w tej sytuacji, ale przystępują doń, gdy zawoła „Solidarność”. W „DYMITROWIE” współpraca administracji i związku układa się na ogół dobrze, choć nie bez zgrzytów. Mimo to bardzo obniżyła się dyscyplina pracy, a zdarzył się nawet zbrodniczy postęp. Zginęły dwie kamery zainstalowane na dole w ramach systemu ochrony i bezpieczeństwa górników pracujących w chodniku. Milicja sprawcy nie wykryła, motywów też pojąć nie można. Ktoś chciał zrobić na złość dyrekcji? Jasio na złość rodzicom odmroził sobie uszy. Balagan wokół uchwały rządu, to tylko pretekst. Czy sztafeta „programowy” jest tylko krzykliwą otoczką. Dowodem fakt, że każdy kto przyszedł w tej kopalni do pracy w sobotę, brał co dawał bez szemrania, nawet najgorętsi opozycjoniści wobec uchwały. W kopalni musi panować dyscyplina. Od tego zależy robota i życie ludzi.

Sześć Komisji Zakładowej „Solidarności” przy KWK „DYMITROW”, Piotr Borszewski, ostro polemizował z dyktorską opinią, dowodząc, że dodatkowy towar przyznany górnikom, powinien być w sklepach, a nie na talony, że z górników zrobiono w narodzie stonkę rynkową. „Jeśli — mówił — panuje taki balagan w gospodarce, marnotrawstwo węglu, to żadne deputaty sytuacji nie zmienia, bo każda ilość węglu zdolna zmarnotrawić niezłego nie poprawiając. Konieczna jest generalna regulacja układu zbiorowego, a przede wszystkim szeroka kontrola społeczna dystrybucji wytworzonego dochodu narodowego. Górniczy nie są zain-

teresowani talonami na rowery. Czy rower to jest towar atrakcyjny? Ludzie chcą, żeby się z nami liczone, a nie przekupywane. Trzeba zlikwidować zjednoczenia węglowe, żyjące na koszt kopalń i śrubujące koszty wydobycia”.

Sumując racje strony rządowej i związkowej, można powiedzieć tak: Działania administracji państwowej i gospodarczej warunkowane są ogólnym interesem państwa i społeczeństwa. Jednocześnie głęboko zwinięty system zarządzania gospodarką, biurokratyzm i szereg fatalnych zasłódek, powodują, iż zbożna intencja ratowania gospodarki wyraża się w decyzjach sprzecznych z sobą, wcale nie bądź też maksimum wysiłku koncentruje się na ubocznym problemie. Tak właśnie ma się sprawa węglu. Cel główny — wzrost wydobycia surowca podstawowego, realizuje się skupiając wysiłek, inwencję i koszty na górnikach. Kłopot polega na tym, że jest to akurat jedyny ogień, z którego nie da się więcej wyżywiać, a w każdym razie niewiele. Przebijanie targu o sobotni fedunek przy pomocy nowych banknotów górnicy traktują jako proceder niemoralny. Skoro — powiadają — stać państwo na dodatkowe pieniądze i talony na dobra przemysłowe, to znacznie taniej wyjdzie reforma systemu plac. W końcu — twierdzą — wysiłek w dzień powszedni i w sobotę jest dokładnie ten sam, więc dlaczego robota codzienna ma być gorzej opłacana niż ta sobotnia.

Szerog argumentów obu stron zasługują z pewnością na uwagę. Jednak na bazie rzeczywistego sporu o kształt przyszłego systemu gospodarczego, narosło mnóstwo „dorobionej filozofii” i racji czysto prestiżowych, co nie ułatwia znalezienia polubowego rozwiązania. W chwili obecnej walka toczy się według scenariusza: rząd przebiega dewiza „pecunia non olet”, zaś „Solidarność” — potrzebą szybkiego reformowania całego systemu, a nie przekupywaniem górników. Rząd chce zyciodajnego surowca, a „Solidarność” — szerszego umieszczenia kwestii węglu w całej panoramie gospodarczej kraju.

Rząd dokonuje olbrzymiego wysiłku zapewnijając uprzywilejowane zapotrzebowanie górników Z pewnością dalece niewystarczające, ale jedyne osiągalne w chwili obecnej. Podejmowane są próby uzupełnienia brakujących 50 tys. ludzi w kopalniach. Akcja werbunkowa wśród młodzieży cywilnej i wojskowej zaowocowała liczbą 12 tys. chętnych. To mało, a i tak konieczne szkolenie potrwać musi co najmniej rok. Zmiana ceny węglu ciągle się odwleka; tym razem nie z winy rządu. Pozostaje więc jedynie realne tu i natychmiast działanie, czyli zachęta finansowa dla podejmujących dobrowolną pracę w sobotę.

Cóż z tego, że „Solidarność” ma rację domagając się kompleksowych reform? Co nam po reformie gospodarki, która w międzyczasie rozsypie się całkowicie? Impas polega na tym, że „Solidarność” ma rację na jutro i pojutrze, ale rząd ma rację na dziś. Frymarczenie racjami przeciąga się, do dna już niedaleko. Państwo słabnie, idzie zima, a obrońcy wolnych sobót obrażają się na pieniądze płacone za rezygnację z zabójczego przywileju.

JOLANTA WRONKA

nik ma jednak związane ręce i dlatego może jedynie uwzględnić przypadki szczególne. Jest staruszka, która co roku sprzedaje do GS wełnę, a tej nie ma na liście produktów rolnych. Babcia chciałaby w zamian radio. I co, nie dać? Albo ten rolnik, który oddał dwa tuczniki, bo więcej po prostu nie był w stanie Sasiadzi śmiały się, że sprzedaje świnię po 88 zł, a na rynku można wziąć po 200. On też nic nie dostanie? Chłopu pęknie metalowa rurka, obuniesie się komin lub zawali chałupa. Jak nie sprzeda świni, to nie dostanie materiałów budowlanych?

Naczelnik Krata łapie się za głowę. — Związaniak można z tego wszystkiego! Takiego balaganu to chyba jeszcze u nas nie było. Na wchłowie mam 300 rolek papy, bo poniszczyło dachy. A jak ktoś przyjdzie po jedną rolękę na inny cel, to każę mu przyprowadzić świnię? Węgiel za żywiec. I do parowania ziemniaków. A gdzie węgiel, bytował na ogrzewanie mieszkań? W listopadzie lub grudniu przyjdzie 500 ton cementu. Chłopi teraz nie budują, więc chyba nie kupią, bo do wiosny skamienieje. A ja chyba naprawdę zwiariuję. Albo mnie zdejmą...

A prezes GS, W. Stasiak, z innej beczki: — Przychodzi rolnik i oświadcza, że sprzedał świnię, ale do nabycia pralnicy brakuje mu 2 tys. zł. Powiedziałem, żeby przywiózł tonę zboża i tonę ziemniaków. I on przywiezie. Ale czy ja nie oberwę za tę transakcję? Jest u nas wielu rolników, którzy od 1 lipca sprzedali po kilkadziesiąt tuczników. Niektórzy za 500 tys. zł. Za właściwą postawę i szybkość działania powinni dostać nagrodę. Tymczasem spotyka ich kara, bo wg uchwały rządowej liczą się świnię sprzedane od 1 listopada. W ten sposób preferuje się spóźnialskich i oprychów... Inny z prezesów powiedział mi, że nie wie, co zrobić z folią za pół miliona, bo nie ma jej na liście. Kierownik służby rolnej, R. Iwańskó-

powiedział, że gdyby w sprzedaży „wiązanej” preferować warzywa, to można by dawać za nie folię. Ale co tu mówić o warzywach, kiedy brakuje węglu?

— Na liście uchwały rządowej nie ma wśród produktów rolnych loszek hodowlanych. Na skupie są po 140 zł za kg, a na rynku po 200 zł. I najczęściej idą pod noz...

Później nasłuchiwałem się też sporo od chłopów. Jeden podsunął mi ten fragment uchwały, w którym pisze, że rolnicy mogą nabywać środki produkcji także po 1 stycznia i to w ilościach wynikających z relacji wartości żywności w stosunku do wartości towaru przed zmianą cen. Z tym, że towary nabeżdą po nowej cenie. Rolnik zapytał, jak to należy rozumieć. Ano tak, że za te same świnię dostanie tę samą maszynę, tylko, że zapłaci za nią, powiedzmy, dwukrotnie więcej.

W innej wsi dowiedziałem się, że szanujący się rolnik ma w domu telewizor, pralkę i lodówkę. Potrzebuje natomiast wapna, nawozów, folii, kos, widel, łanuchów, gwoździ, których nie ma ani na liście, ani w magazynach. Ciągnik jest na liście, ale trzeba nań uchwycić przez dwa miesiące 7 ton żywności za 700 tysięcy. Co się zaś tyczy oprocentowania wkładów pieniężnych, to ono nie wyrówna spadku wartości pieniądza po 1 stycznia. A w ogóle to woj. śląskie znowu jest pokrzywdzone, bo ogromna większość stanowią tu gospodarstwa drobne, w których można wyhodować tyle królików, że akurat wystarczy na budżet.

Można by stwierdzić niezbyt dowcipnie, że przelicznik 1:5 nie podoba się, ponieważ kojarzy się z porażką, np. w meczu piłkarskim. Ale w sprawie biologicznego przetwarzania żartować nie wolno. Fakty świadczą, co potwierdzały PAP i Polskie Radio, że gdy województwo na własną rękę wprowadziło sprzedaż wiązanej, skup nieznanie podskoczył. A po wprowadzeniu uchwały z 1. XI znowu się załamał.

Ktoś może pomyśleć, że bronie interesów zaścianka gm. Pabianice i woj. miejskiego. Nic podobnego, pierwsze bowiem odezwali się województwa, gdzie jest dobrze rozwinięta gospodarka wielkotowarowa, np. poznańskie, kaliskie i leszczyńskie, wskazując na niedoskonałości uchwały o sprzedaży wiązanej.

Optymisci twierdzili, że uchwała będzie zmodyfikowana. Pesymisci byli zdania, że nie się nie zmieni, gdyż bombardowany postulatami szczebel wojewódzki nie przekazał nieczemu do Warszawy, bojąc się o własne stołki. Ja ustawiłem swój przelicznik na 2:1 na korzyść modyfikacji. Bo jak władza szczerze pragnie przepływu informacji z dołu do góry, żeby móc coś naprawić, to będzie go mieć. Jeśli bowiem na szczeblu wojewódzkim panuje stagnacja, to są jeszcze organizacje społeczne i związki zawodowe.

Pierwsza wysłała telexy w sprawie sprzedaży wiązanej „Solidarność” rolników indywidualnych. Natomiast związkowcy z kółek rolniczych sami pojechali do Warszawy, żeby powiedzieć, co myślą o niedoskonałości uchwały rządowej. Minister Wołtecki przetrwał rolnikom że wszystkie uwagi natychmiast prześle rządowi.

I bardzo dobrze. Bo przecież niedomogom sorzadzi wiązanej protestują także członkowie ZSL. A dowodem tego były burzliwe obrady VI Plenum NK ZSL. Działacze oświadczyli, że system sprzedaży wiązanej, aczkolwiek doraźny i krótkoterminowy, będzie modyfikowany jeszcze w trakcie realizacji.

Jednakże żaden system nie będzie doskonały, jeśli w sklepach nie znajdzie się pod dostatkiem artykułów przemysłowych, a na wsi środków produkcji. Tylko, żeby osiągnąć doskonałość potrzebni nam są święci XX wieku. Potrzebni są święci w partii, w rządzie w Kościele i „Solidarności”. I w społeczeństwie, żeby potrafiło godnie przetrwać okres trudnych wy-



Fot. R. Lucyszyn

Jeszcze kilka lat temu mówiono, że drewnianych chałup mamy tak dużo, iż nie musimy się o nie martwić. Nawet urzędowo nakazywano ich rozbieranie, rzekomo w trosce o estetykę i bezpieczeństwo przeciwpożarowe.

Ekspozycja nowoczesnego budownictwa wiejskiego powoduje tak już szybkie tempo niszczenia obiektów zabytkowych budownictwa drewnianego, że czas wreszcie zająć się nimi nieomal natychmiast. Ratunkiem są skanseny, a więc muzea i parki etnograficzne. Zebrano w nich w Polsce ponad 150 (dane z 1975 roku) zabytków budownictwa ludowego. Niezależnie od tego, najczęściej społecznym i prywatnym sumptem, powstało wiele izb skansenowskich in situ i małych skansenów, najczęściej ulli.

Na mapie parków etnograficznych i skansenów region nasz stanowi białą plamę. Nie doszła jeszcze do skutku organizacja skansenów ani w Moszczyczach koło Łowicza (podobno prace już trwają), ani w Łodzi, ani też w Sieradzu. Wprawdzie w Łowiczu istnieje przymuzealny zespół budowlany, ale nie rozwiązuje to problemu ratowania dla historii cennych zabytków budownictwa (bo w pierwszym rzędzie taki jest cel tworzenia tych placówek). Swego czasu głośno było o organizacji skansenu w Sieradzu, stolicy regionu niezwykle ciekawego kulturowo i bogatego (jeszcze) w ostatnie relikty ludowego budownictwa drewnianego. O potrzebie powstania takiej placówki mówi się tam już od 18 lat. Jaki jest stan realizacji tych zamierzeń?

— Ruszamy — mówi Sławomir Brodzki, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu.

— To już słyszałem kilka lat temu...

— Tymczasem zmieniła się koncepcja lokalizacji skansenu. Teraz wracamy do projektu zespołu Zofii Neymanowej, byłego dyrektora Muzeum Okręgowego w Sieradzu...

— Nasza koncepcja — mówi Zofia Neyman — zakłada lokalizację skan-

senu na terenach w pobliżu Warty, na tzw. wzgórzu zamkowym. To dawne grodzisko, czyli początek lokalizacji władzy plemiennej sieradzan. Zachowały się tam ruiny zamku, ale to już późniejsze czasy, bo wiek XIV. Mieści się tam unikatowa trzynastowieczna rotunda, pierwsza rotunda ceglana w Polsce (wcześniejsze budowane były z kamienia).

Chcemy pokazać tam także trzy charakterystyczne typy wsi sieradzkiej: „polnej” (na wschód od Sieradza), „nadwarciańskiej” (wzdłuż Warty) oraz „borusów” (płd.-zach. część województwa).

„Borusami” nazywano mieszkańców leśnych wsi (dawna królewszczyzna). Cechowała ich duża samowystarczalność. Z rzdy darniowej wypalali żelazo, z którego liczne kuźnice robiły narzędzia gospodarcze i okucia budowlane. Wśród „borusów” było wielu stolarzy, wykonujących sprzęt i meble, nie tylko na swój użytek. Rozwinęte też było bartnictwo. W pierwszych latach powojennych spotykałam jeszcze wspaniałe barcie kłodowe, wysokości nawet i dwóch metrów, we wsiach Przedłęcz, Godymice, Klonowa i jej przysiółki. Niestety, nie zachowały się już te największe ule kłodowe. Ale spórą ko-

o zwykły dochód tu chodzi. Trzeba uchronić istniejącą jeszcze substancję kulturową Sieradzkiego. Gdzie, jak gdzie, w Sieradzkim mocno tkwią korzenie w tradycji.

— Przypominam sobie, że przed laty wykupiono już wiele ciekawych obiektów wiejskich.

— Oczywiście, bo ówczesny wojewoda łódzki, dr Roman Malinowski (obecnie wicepremier, przyp. aut.) bardzo nas w tych działaniach wspierał. Na to poszły już spore fundusze. Nie wolno ich zaprzepaścić. Wprawdzie może ktoś powiedzieć, że dziś nie stać nas na zabawy w skanseny, ale twierdzą, że właśnie jesteśmy za biedni na to, żeby pozwolić niszczyć bezpowrotnie zabytki kultury ludowej. To byłaby zbrodnia...

Powracam do rozmowy z dyr. Brodzkim.

— Przychylny naszym planom jest Departament Muzeów w Ministerstwie Kultury i Sztuki, a także obecne władze Sieradza. Trwają prace programowo-organizacyjne.

— Przecież koncepcja i dokumentacja były już gotowe. Czemu aż tyle



Zabytkowa „kumora” z 1830 r. we wsi Braszewice
Foto: Archiwum

dzieciom uczniów, powstaje wspomniany mini-skansen.

Skąd w Wojsławicach biorą na to wszystko pieniądze? Pochodzą one ze sprzedaży surowców wtórnych, docho-

powinno być prosperującym gospodarstwem wiejskim.

Nie jest to myśl nowa. Kilka lat temu, znany etnograf krakowski, prof. dr Roman Reinfuss, zaproponował nawet, by z wyprodukowanego ziarna, zmielonego w skansenowskim młynie czy wiatraku, według ludowej receptury piec chleb czy inne pieczywo regionalne (w Zioczewie znane były kiedyś obwarzanki), które później można by kupić w zabytkowej karczmie obok innych potraw regionalnych.

Te potrawy to nie nierealne marzenia człowieka z nie zrealizowanymi kartkami mięsnymi, patrzącego na puste półki. Przecież dawniej na wsi mięso jedzono od wielkiego, bardzo wielkiego święta. A gdzie dziś uświadczysz, nawet w tzw. karczmach czy zajazdach, zalewając na kwasie mącznym, kluski żelazce (z ziemniaków) z mlekiem, kaszę ze spyrką czy maślanek z ziemniakami? Na samą myśl o tych specjach kuchni mojej babki ślina podchodzi mi pod język...

Jeszcze jedną funkcję widzę w przyszłym skansenie sieradzkim — dydaktyczno-naukową. Myślę o studentach etnografii Uniwersytetu Łódzkiego. Miniatura gospodarki prowadzona w skansenie przez starych mieszkańców wsi, rzemieślników i rolników, umożliwiłaby odbywanie tam praktyk studenckich. Zapoznanie się, przez uczestniczenie w różnego rodzaju zapomnianych już czynnościach gospodarczych to coś więcej, niż najlepsze wykłady czy ćwiczenia, ilustrowane nawet slajdami czy filmami.

Niektóre polskie placówki skansenowskie zaczęły już organizować różnorodne imprezy i pokazy plenerowe, przykładem Sanok, Ciechanowiec, Nowogród, Radom, Opole...

No cóż, miejmy nadzieję, że wiadomość o takiej imprezie etnograficznej będę mógł przekazać również z Sieradza. Obyśmy nie musieli czekać następnych 18 lat! Podjęłam się jednak, że jeśli nie z Sieradza to z Wojsławic otrzymam ją na pewno. Wierzę w pasjonatów swojej ziemi.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

W DOMU NASZYCH PRADZIADÓW

leką innych, również leśnych, można by jeszcze zebrać. Zresztą były jeszcze nieliczni bartnicy, którzy kiedyś deklarowali mi odtworzenie tych uli...

— Praktycznie jednak biorąc, prace związane z budową skansenu przerwano z chwilą organizacji województwa sieradzkiego...

— Bo by wojewoda sieradzki powiedział kiedyś, że skansen musi dać miliony. Odpowiedziałam wówczas, że aby dawał miliony, trzeba je najpierw zainwestować. Ale przecież nie

pocznym natury przygotowawczej?

— Albowiem wcześniej, w 1977 roku, została przyjęta koncepcja zagospodarowania zespołu miast Sieradz — Zduńska Wola, a ta — skansenu w Sieradzu nie przewidywała (przynajmniej w tym miejscu). Chcemy uratować i przenieść chociaż te zabytki, które już wykupiono. Są takie, jak np. w Stobiecku koło Rudnika, które zostały wykupione 9 lat temu. Tak więc nawet z punktu widzenia ekonomicznego nie wolno nam zmarnować wydanych ośmiu milionów złotych. Z funduszu centralnego mamy na ten rok milion złotych. Zatrudniamy kierownika budowy. Jest koncepcja, są obiekty i przypuszczam, że w tym roku przeniesiemy spośród nich chyba z pięć.

W Sieradzu wydatki poszły w miliony. A w niedalekich Wojsławicach k/Zduńskiej Woli montuje się już dziewiętnastowieczną chałupę (ze wsi Rembieskie Stare). Jest to początek szkolnego mini-skansenu. Oczywiście trudno porównywać planowaną zagrodę ze skansenem wojewódzkim, ale Wojsławice są dobrym przykładem społecznego działania patriotów lokalnych i młodzieży szkolnej z Zespołu Szkół Rolniczych w Wojsławicach; animatorem działania jest polonistka, mgr Bożena Antoszyk.

Zaczęło się w 1977 roku, od izby regionalnej. Potem w pałacowych piwnicach zorganizowano tzw. chatę sieradzką oraz izby rzemiosł, a ostatnio przy współudziale młodzieży i ro-

Skanseny to nie tylko ratunek dla zabytków; pełnią one także ważne funkcje oświatowe i popularyzatorskie. Dobrze pokazana zagroda ica czy sieradzkiego borusa, daje pełniejszy obraz sytuacji społeczno-ekonomiczno-kulturowej rzemieślnika wiejskiego, czy rolnika, lepszy wgląd w technologię ich pracy, niż nawet największy zbiór narzędzi i surowców lub wystawionych w pięknych gablotach bogatych i różnorodnych gotowych wyrobów.

Organizatorzy skansenu chcą, by ich placówki były żywe. By mieszkańcy tam i tworzyli, przy użyciu tradycyjnych sposobów i narzędzi, autentyczni twórcy i rzemieślnicy ludowi. Ziemia powinna być też uprawiana starymi narzędziami rolniczymi, a na zagonach wysiewane i sadzone rośliny już dzisiaj w regionie nie uprawiane. Bo muzeum skansenowskie



SZCZEPAN MUCHA ze wsi Szale k/Klonowej — rzeźbiarz ludowy
Foto: Z. Korzeniowski

złoty

Prawie wszyscy nasi podopieczni mieszkają w starym budownictwie, w fatalnych warunkach, często walących się ruderach. Potrzebują ciągłej pomocy! Uważam, że należy im się w pierwszej kolejności, mimo iż dzisiaj każdemu ciężko się żyje.

W rejonie opiekuńczym przy przychodni nr 42 w ZOZ Łódź-Śródmieście pracownik socjalny, Mariola Wieraszka, ma same kłopoty.

— Dziesiątki starych ludzi przychodzi do mnie z interwencjami, pokazują kwity opłacone w marcu, kwietniu, a węgla jeszcze nie

trzeniu się w środku czystości, bielizna, domom opieki społecznej mimo że trudno nie dostrzegać takiej potrzeby, przecież to placówki nie tylko zbiorowego żywienia, ale duże skupiska ludzi funkcjonujące, podobnie jak szpitale, tyle, że stąd nikt nie idzie do domu, życie się wlecze, doba za dobą, z całą swoją już monstrualną fizjologią... Zwykli, szarzy podopieczni, przymarzający z chłodu w domach, ci, którzy rzeczywiście potrzebują węgla, żeby przetrwać, nie dostali go. A PGM i ROM w ogóle nie biorą pod uwagę możliwości remontu ich rozwalających się domów.

urzędników z dzielnic i gmin w pracę opieki społecznej. Klimat do działania jest. Nowe władze służby zdrowia, a także resortowy wiceprezydent są zainteresowani. Coś zaczyna powoli posuwać się naprzód. Opieka przestała być piątym kołem u wozu, balastem lecznictwa, ale zaniechania się zbyt pokazuje, że by można było załatwić napęd. Również sytuacja, w jakiej przyszło działać, jest wysoce niekorzystna. Opieka dysponuje nędznymi kwotami. Nierzadko trzeba się zastanawiać, czy dać pacjentowi na węgiel czy buty! Zasiłki są kompromitujące! Mimo że wzrosły od stycznia 1981 roku, o czym szeroko informował resort zdrowia i opieki, zasiłki stały, wypłacane systematycznie jak renta, z 1800 zł podniesiono maksymalnie do 2300, okresowy, któ-

ry można tylko otrzymywać przez kilka miesięcy, z 1440 do 1800, a doraźny przydzielany sporadycznie z racji jakiegoś kataklizmu, raz w roku, może sięgać „aż” 2500 złotych.

Jak wyżyć za te nędzne grosze, pytają podopieczni. Może minister Szlachowski potrafi odpowiedzieć? Przy okazji, panie ministrze, proponuję stałe zasiłki zamiennie na renty socjalne wypłacane przez ZUS. Odciążyłoby to znacznie szczupłą kadre Ośrodków Opiekuna Społecznego i może wpłynęłoby korzystnie na ich wysokość bo jak do tej pory są to kwoty dużo mniejsze od najniższych rent, a przecież to jedyny źródło „ymania wielu ludzi starych, niepełnosprawnych — pacjentów opieki społecznej.

pomagającym!

otrzymali. Co będzie, gdy mróz chwyci? Żyją w ruderach wymagających gruntownych remontów. Nic nie mogą załatwić. W PGM ani myślą się tym zająć, kompletna zaniechali! Spośród kilkudziesięciu mieszkań podopiecznych wybrałam tylko osiem, tam, gdzie remont jest niezbędny, inaczej chyba wosny w nich nikt nie doczeka. PGM Łódź-Śródmieście i tych nie przyjął! Nie mają mocy przerobowych, po co im zwracam głowę jakimś podopiecznymi, gdy dzieją się inne, ważne sprawy! W tym roku jedynie ziemniaki udało mi się załatwić dla wszystkich chętnych. Ale czy same ziemniaki wystarczą do przetrwania?

Nierzadko zdarza się, że podopieczny rezygnuje z pomocy w chwili, gdy trzeba przeprowadzić dokładny wywiad środowiskowy. Boi się, że dotrzemy do jego dzieci, do syna na wysokim stanowisku... Z takich powodów w ciągu ostatnich miesięcy rezygnowało z pomocy w nim rejonie ponad 30 osób. To się nazywa troska o dobre imię dziecka! Za cenę giodul

ODWRÓCIĆ SIĘ PLECAMI

Jakoś Wydział Handlu i Usług Urzędu m. Łodzi jest daleki od dania priorytetu w zaopa-

Zakłady produkcyjne też mają ważniejsze sprawy, niż fundowanie pomocy jakimś biedakom. Podobnie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Ozorkowie, które podjęło się remontu miejscowego domu opieki społecznej, ale szybko zrezygnowało. Po prostu samorząd pracowniczy doszedł do wniosku, że się nie opłaca! Niech sobie staruchy sami remontują! Wszystko zgodnie z przepisami!

A przecież można by te sprawy rozwiązać. Potrzeba chęci. Nie dalej jak za miesiąc, w województwie piotrkowskim, rolniczym, gdzie węgiel w pierwszej kolejności należy się rolnikom-producentom, użyczono jednak pierwszeństwa niewielkiej grupie starych i niepełnosprawnych. Można by i tak w Łodzi, najbardziej potrzebujący podopieczni to tylko 20 tysięcy, co znaczącoby przepuszczenie ich poza kolejnością w wielkiej, milonowej aglomeracji. W piotrkowskim remontuje się także mieszkania podopiecznym na wsi i w mieście. Czyżby tam były mocne przerobowe? Lekarz wojewódzki, Jerzy Masłowski i honorowy prezes PKPS w Piotrkowie Trybunalskim, wicewojewoda Jerzy Rekrorański, czuwają nad potrzebami podopiecznych. Żeby było łatwiej, naczelnicy gmin są przesami oddziałów gminnych PKPS. I w Łodzi należałoby wciągnąć tych liczących się



Idętem byłoby zapewnienie wszystkim ludziom starszym warunków jakie mają mieszkańcy domu „Złota Jesień” na Widawie.
Foto: H. Łamfiński

26 listopada 1916 roku Piłsudski podał się do dymisji i wyjechał do Krakowa, a 2 grudnia wrócił do Warszawy. Równocześnie Beseler, w imieniu Ludendorffa polecił generałowi Szeptyckiemu złożyć plany organizacji Polskiego Korpusu Posiłkowego na podstawie kadr legionowych.

W dniu 6 grudnia 1916 roku w Warszawie utworzono Tymczasową Radę Stanu — jako radę przyboczną w sprawach Polski przy generalnym gubernatorze warszawskim. Tymczasowa Rada Stanu nie miała sprawować funkcji rządu — miała opracować projekt Konstytucji i ordynacji wyborczej. Związkiem jej był sam Beseler, marszałkiem — Wacław Niemojowski. Tymczasowa Rada Stanu powołała do swego grona Piłsudskiego, jako rzeczoznawcę wojskowego. Szefem Komisji Wojskowej został mianowany obywatel Górski.

Październik i listopad 1916 zastał Legiony jeszcze w Baranowiczach. Postój ten przedłużał się ze względu na niedobite targi między dowództwem niemieckim i austriackim.

Politycy niemieccy, z Hindenburgiem i Ludendorffem na czele, postanowili oczarować — jak mawiali — głupich Polaków wizją niepodległości, aby uzyskać w ten sposób nowe kontyngenty wojsk polskich, posilkujących armię niemiecką.

W listopadzie 1916 roku Baranowicze były świadkiem nie lada hecy. Zjechał książę bawarski — Ruprecht Wittelsbach. Niemcy, aby nadać przyjazdowi księcia wielką wagę, plakatami oraz różnymi odczwami ogłaszali, że powstanie niepodległa Polska, gdyż — jak mówili — dowodem niepodległości jest właśnie kandydatura Ruprechta na króla.

Wyjaśniliśmy, że jest to przebiegłe mydlenie oczu. Jednak część naiwnych wierzyła w szczerą intencję Niemców. Zwolennicy ci rekrutowali się przeważnie z oficerów komendy legionowej, z szefem sztabu Zagórskim na czele.

Nadeszła wieść o rozwinęciu Legionów w Korpus Posiłkowy, wykładowany ściśle na wzór niemieckiego Wehrmachtu. Generali Szeptycki przystąpił do organizacji, zaprosił mnie, jako znanego mu jeszcze z wojny japońskiej, na stanowisko szefa sztabu korpusu. Jednocześnie utworzył komisję, do której zaproponowałem powołać po jednym kapitanie ze wszystkich pułków i oddziałów równorzędnych (...). Stanowiska wyższe mieli objąć oficerowie niemieccy, bądź austriaccy.

Piłsudski przebywał wówczas nadal w Warszawie. W toku prac komisji kapitan Kukiel (były minister obrony narodowej w rządzie londyńskim) zakomunikował, że jego dowódca pułku, zastępujący chwilowo Piłsudskiego na stanowisku dowódcy I Brygady, pułkownik Śmigły-Rydz ironicznie się uśmiecha i mówi, że komendant to i tak wszystko zmieni.

Z Baranowicz Legiony zostały przeniesione w rejon Pułtuska i Ciechanowa. Kwatery Główne Korpusu Posiłkowego rozmieszczone w Warszawie, dokąd wkrótce wezwał mnie Szeptycki w celu wykończenia prac, rozpoczętych jeszcze w Baranowiczach, i już oficjalnie mianował mnie szefem sztabu korpusu. Komisja dalej pracowała nad kadrą Korpusu Posiłkowego.

Szef Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu — obywatel Górski — miał odebrać przysięgę od wszystkich oddziałów legionowych na wierność Polsce i Beselerowi, jako zwierzchnikowi całych Legionów.

Niemiecki plan wojenny przewidywał między innymi użycie Korpusu Posiłkowego na froncie zachodnim do ostatecznego rozstrzygnięcia bitwy pod Verdun.

Na posiedzeniach Tymczasowej Rady Stanu Piłsudski występował w charakterze rzecznika wojskowego z twierdzeniem, że kadr legionowych nie starczy do obsady wszystkich stanowisk w korpusie. Piłsudski proponował oparcie się na stworzonym przez siebie POW. Dążył do stworzenia takiego wojska, by mieć oparcie i w sprzyjających warunkach zdobyć dyktaturę w Polsce.

Mysł tę szerzyli zwolennicy komendanta, którzy usiłowali utwierdzić ogół w przekonaniu, że Piłsudski jest zdolny opanować sytuację w razie powzięcia się nogi Niemcom na frontach.

Rada Stanu odnosiła się do prób Piłsudskiego z wielką nieufnością, gdyż popularna myśl oparcia się na Legionach była bardziej realna niż oparcie się na POW.

Pomimo sprzeciwu Piłsudskiego, Szeptycki twierdził, że do obsadzenia korpusu wystarczy kadra legionowa (...).

Kiedy postanowiono wystać Górskiego do pułków, Piłsudski, widząc całkowite nieudanie się swych „planów”, polecił pułkom legionowym odmówić składania przysięgi.

Od początku lipca roku 1917 na posiedzeniach Tymczasowej Rady Stanu rozwijała się podstawowa debata Piłsudskiego z przedstawicielami społeczeństwa.

Piłsudski stał na stanowisku, że w warunkach proponowanych przez państwa centralne pracować nie może. Odmówił przyjęcia gaży za czerwiec, twierdząc, że mu się nie należy, i zgłosił swoje postanowienie o ostatecznym podaniu się do dymisji (...).

Decyzja Piłsudskiego okazała się w skutkach tragiczna. Ilość bagnetów, którą trzymał żołnierz polski w ręku, zmniejszyła się z dwudziestu tysięcy do pięciu tysięcy. Ilość dział, co szczególnie głęboko odczuła artyleria legionowa, zmalała do jednej czwartej. Kawaleria zmniejszyła ilość szabel do połowy, ale nie odczuła tego tak tragicznie jak artyleria, gdyż siodła, a po części i konie, wsiadki w teren wraz z jeźdźcami.

Dalsze plany Piłsudskiego zostały przerwane na skutek aresztowania go i wywiezienia do Gdańska, a następnie do Magdeburga.

W rozterce moralnej i głębokim przgnębieniu wypełniałem obowiązki inspektora szkół wojskowych.

Jedynym, bardzo wątpliwej jakości pocieszeniem dla mnie, moich kolegów — wykładowców i uczniów — była myśl, że w zbliżającym się rozstrzygnięciu momentu wojny pięć tysięcy karabinów i bagnetów będzie w rękach doświadczonych w boju żołnierzy-Polaków (...).

Została utworzona Rada Regencyjna, mianowana 27.X.1917 roku przez centralny rząd niemiecki, na wniosek warszawskiego general-gubernatora. Skład Rady Regencyjnej, która miała być suwerenną władzą z prawem łaski, przedstawiał się następująco: Zdzisław — książę Lubomirski, arcybiskup warszawski Kakowski i Józef Ostrowski.

Powołanie przez rządy zaborcze „suwerennej” Rady Regencyjnej, któ-

pełniły wioski Czech, Moraw, Słowacji, Węgier i Małopolski.

Separatyzm narodowe sztucznie sklejały dotychczas meternichowsko-kaunitzowską politykę Wiednia krzepły. Powstawały związki przyszłych państw słowiańskich, Węgier i Rumunii.

General-gubernator lubelski, Szeptycki, zjechał na stałe do Warszawy, gdzie odbywały się ciągle narady przedstawicieli rządów wiedeńskich z Beselerem.

Panika w urzędach obu general-gubernatorstw potęgowała się, gdyż z północno-wschodniego frontu, spod Pskowa i Orszy, zaczęły napływać coraz groźniejsze wieści o rewolucyjnych nastrojach w szeregach wojsk niemieckich, w których resztki dyscypliny podtrzymywała tylko obawa przed rzeczą ze strony ludności krajów okupowanych i chęć powrócenia

żyć pod komendą austriackiego bałaganiarza lub bandy Piłsudskiego.

Kapitan Iwanowski z Komendy Polskiej Sily Zbrojnej (wkrótce pułkownik u Hallera) wezwany już wtedy do Francji, oświadczył:

— Generali! wyjechał do Francji, aby stanąć na czele powstających tam dywizji, złożonych z ochotników Polaków z Ameryki i Europy zachodniej. Na czele tych dywizji po przybyciu do Polski będzie jedynym kandydatem na prawdziwego wodza naczelnego.

Do niemieckich generalów — rzecz jasna — nie chodziliśmy.

Regentom zreferowaliśmy, że wobec stanowiska wodzów nie zdołaliśmy zażegnać kryzysu.

Rozkład kompletny resztek armii austro-węgierskiej miał się już ku końcowi. Składy broni i amunicji w Lublinie i Krakowie rosły z każdym dniem. Wobec ogólnego upadku dyscypliny w rozbitych szeregach, zapasy broni zaczęły się upływać. Z początku dostały się one w ręce tworzących się oddziałów rewolucyjnych partii lewicowych, jednak potem częściej wpadały w ręce chuligańskich szumowin, których drobne oddziały zaczęły grabić ludność.

W celu zabezpieczenia składów broni, NKN ostatnim aktem swych rządów mianował pułkownika Roję (byłego dowódcę czwartego pułku Legionów) komendantem Okręgu Korpusu Kraków, zwracając się równocześnie do Rady Regencyjnej o niezwłoczne przysłanie batalionu Polskiej Sily Zbrojnej dla objęcia wart w Krakowie i okolicy.

Batalion został wysłany do Krakowa, a jedna kompania równocześnie do Sosnowca i Dąbrowy Górniczej, gdzie też były składy broni i amunicji, a gdzie równocześnie wrzenia rewolucyjne były poważne.

Rząd Ludowy w Lublinie również zażądał batalionu żołnierzy (dla ochrony składów) od pułkownika Zielińskiego dowódcy Polskiej Sily Zbrojnej. Baon został wysłany.

LEON BERBECKI

DROGI

DO NIEPODLEGŁOŚCI

Dowództwa wojsk niemieckich i austriackich na wniosek Beselera ustalili następujący sposób postępowania:

Oddziały, które odmówiły złożenia przysięgi na wierność Polsce i Beselerowi, zostały podzielone na dwie grupy.

Poddanych austriackich wcielono do jednostek wojsk austriackich, działających na froncie włoskim.

Kongresowiaków wywieziono i internowano w obozie w Szczypiornie. Byli to oficerowie i szeregowi I Brygady (pierwszy i piąty pułk Legionów, pierwszy pułk artylerii, pierwszy pułk ulanów, pierwsza kompania saperów) oraz więcej niż połowa III Brygady.

Oddziały II Brygady z małymi wyjątkami (drugi i trzeci pułk Legionów, drugi pułk ulanów, drugi pułk artylerii, druga kompania saperów) zostały przysięgę.

Również zostały przysięgę prawie połowa oficerów i szeregowych III Brygady.

Małopolanie i Kongresowiacy, którzy złożyli przysięgę i zameldowali się jako poddani austriaccy (czego nie sprawdzono skrupulatnie), zostali odtransportowani do Małopolski środkowej, gdzie stworzony został oboz przeszkolenia pod dowództwem pułkownika Władysława Sikorskiego.

Oddziały te w lutym 1918 roku wypowiedziały posłuszeństwo władzom austriackim i pod wodzą generała Józefa Hallera przeszły front pod Rarańczą, a wkrótce wyszły na Ukrainę stanąć pod Kaniowem.

Oficerowie i szeregowi grupy przysięgających, pochodzący z Kongresówki utworzyli tzw. Polską Sily Zbrojną pod dowództwem byłego dowódcy drugiego pułku Legionów, a ostatnio dowódcy III Brygady, pułkownika Zygmunta Zielińskiego.

General Szeptycki został odwołany z Legionów i mianowany general-gubernatorem lubelskim — równorzędnym Beselerowi.

Ciężkie warunki bytowania w obozie w Szczypiornie spowodowały, że trzy czwarte szczypiorniaków złożyło podanie o powtórne przyjęcie ich do Polskiej Sily Zbrojnej, której stan wynosił do pięciu tysięcy bagnetów.

Zostały utworzone przez pułkownika Zielińskiego kadry trzech pułków piechoty po trzy bataliony, przy czym stan dziewięciu baonów nie przekraczał pięciuset bagnetów w baonie (...).

Na dowódcę oddziałów piechoty wyznaczono byłego dowódcę trzeciego pułku piechoty Legionów — pułkownika Minkiewicza, inspektorem wszystkich szkół mianowano mnie.

Beseler wyznaczył na swego zastępcę jako szefa wyszkolenia Polskiej Sily Zbrojnej generała Barta z pochodzenia Łużyżanicy z Łużyć Górnych. Szefem sztabu generała Barta był pułkownik Januszajtis.

ra miała przekazać w przyszłości władzę swą królowi Polski, było spowodowane dalszym rozwojem wypadków w Rosji. Liczono również na tworzące się Korpusy Wschodnie, które dzięki toczącym się walkom rewolucyjnym w Rosji mogłyby wracać do kraju. Delegaci formujących się Korpusów Wschodnich pod przewodnictwem Raczkiwicz — po wręczeniu prezydenta w rządzie londyńskim — przyjeżdżali pertraktować z Radą Regencyjną. Wiadomo było, że na północnym odcinku frontu taki korpus tworzy się pod dowództwem generała Dowbór-Muśnickiego, na południu — pod dowództwem generała Michaelisa, a na Kubaniu tworzy dywizję generał Żeligowski. Równocześnie dochodziły wieści o tworzeniu się w Ameryce Polskiego Legionu, podobnie jak i we Francji.

Rada Regencyjna interesowała się wyszkoleniem kadry i postępowaniem w nauce szkół.

Na jednym z posiedzeń, gdy składałem raport ze swych inspekcji, arcybiskup Kakowski (jeden z regentów) rzekł do mnie: — Biedni wy jesteście, resztki szeregow wojska, niby polskiego, pod rozkazami generała niemieckiego i najgorszych wrogów Polski — Hindenburga i Ludendorffa. W czym zawiera się wasza polskość?

Odrzekłem: — W tym, Wasza Eminencjo, że jeżeli Beseler wyda rozkaz strzelania do Rady Regencyjnej, nie wykonamy rozkazu, a jeśli kiedyś Rada Regencyjna rozkaże strzelać do Beselera i rozbrajać jego żołdaków, uczynimy to z całą gotowością i ofiarnością (...).

Przykład rad robotniczych, chłopskich i żołnierskich na gruzach walącej się Rosji carskiej i sztucznych, bez oparcia w masach rządów Kieńskiego oraz różnych wodzów naczelnych spośród białych generałów — wywarli silny wpływ na szeregi wyzercanych wojną wojsk austriackich, które po odrocie spod Kaniowa i Odessy zaczęły gromadnie zrywać pęta zniechędzonej dyscypliny.

Wielonarodowa masa interwentów okupujących południową Rosję zaczęła opanowywać pociągi i z bronią w ręku wracać do stron rodzinnych, niosąc na połoniny huculskie, na żywe pola Rusi Czerwonej, Małopolski środkowej i zachodniej radosną wieść o wyzwoleniu. Nieliczne pułki wierznych Deutschemisterów nie starczyły na rozciągniętym od Odessy i Kaniowa aż po dolomity włoskie frontie habsburskim do utrzymania walących się, nadgniłych fundamentów cesarsko-królewskiej monarchii.

Po froncie wschodnim przyszła kolej na fronty południowy i zachodni, skąd nowe tłumy uzbrojonych i rozbrajanych mas żołnierskich za-

z bronią w ręku do swej niemieckiej ojczyzny.

Z zachodu, z linii Nibelungów i innych zrywanych jeden za drugim frontów zaczęły przychodzić również niebezpieczne dla Hohenzollernów wieści.

Wśród tego chaosu i zamieszania członkowie Rady Regencyjnej i rządu traciли głowy i bezzadnie ogładali się, szukając środków ratunku. W obawie przed narastającą falą rewolucyjnych wystąpień robotników i chłopów gorączkowo poszukiwali odpowiedniego kandydata na dowódcę sił zbrojnych.

Do wyboru mieli sześciu kandydatów na naczelnego wodza wojska polskiego, które zaczęło się tworzyć w dużej ilości punktów z młodszych roczników oddziałów armii zaborczych, powracających z okopów.

Resztek utraconych wpływów dyplomacji wiedeńskiej używali do poparcia kandydatów generalów Szeptyckiego lub Rozwadowskiego. Poznańska Rada Narodowa popierała kandydataturę Dowbór-Muśnickiego. Warszawskie sfery klerykalne wysuwały generała Józefa Hallera, znanego ze swej religijności. Były głosy i za generałem niemieckim, Barmem. Sfery instruktorów wojskowych (Niemców, mówiących po polsku) wysuwały niemieckiego generała, pochodzącego z Warmii, nazwiskiem Wojna.

Januszajtis, Minkiewicz i ja, trzej pułkownicy byłych Legionów, stojący na czele Polskiej Sily Zbrojnej, oczekiwaliśmy szybkiego runięcia władzy Beselera i przygotowywaliśmy się do rozbrojenia oddziałów niemieckich, stacjonujących w Warszawie i okolicy, podliczając ilość artylerii, koni, broni, amunicji i innych zapasów wojennych, rozmieszczonych w składach okolicznych (główna masa broni była na Cytadeli i w Rembertowie).

Chaos w Warszawie potęgował nie tylko intrygujący jeden przeciw drugiemu kandydatów na wodzów naczelnych. Całe dziesiątki generałów z korpusu Dowbór-Muśnickiego starali się przedostać na czoło jedynej kadry zwartej i wyszkolonej — pięciotysięcznej Polskiej Sily Zbrojnej, Rada Regencyjna przydzielała sześćdziesięciu i siedemdziesięciu generałom korpusu Dowbora, aby swym doświadczeniem wsparli kadrę (...).

Po naradach z różnymi osobami i czynnikami Rada Regencyjna wezwiała pułkownika Zygmunta Zielińskiego i mnie, i poleciła udać się do wszystkich kandydatów na wodza naczelnego z prośbą o zgodzenie się na kandydataturę jednego z nich i oddania się pod jego rozkazy.

Zaczęliśmy od generała Szeptyckiego. Oświadczył, że z pełną gotowością stanie pod rozkazy każdego z kandydatów, oprócz Dowbór-Muśnickiego.

To samo powtórzył generał Rozwadowski.

General Dowbór-Muśnicki zgadzał się nawet na Niemców, byle nie stu-

O Wysockim — poecie nie napisano ani jednego rzeczowego artykułu, nie mówiąc już o monografii dotyczącej jego twórczości. Większa część jego poezji znana jest tylko z zapisów magnetofonowych, nieliczną nagrano na radzieckich i zagranicznych płytach, możliwe, że wiele jego utworów zginęło bezpowrotnie. Nikt jeszcze nie zaczął zbierać i systematyzować jego wierszy, pieśni, prozy, brudnopisów i listów. Brak nam czasu, aby dobrać do tak złożonego zjawiska, jakim jest indywidualność Włodzimierza Wysockiego. Być może właśnie śmierć zmusi nas do rozmyślenia jego twórczości i pozwoli spojrzeć na los poety poważnie.

Los Wysockiego był trochę niezwykły i trudny w nim doszukać się cech „człowieka poeciowego”.

Kiedy słuchamy po raz pierwszy jego śpiewu, odbieramy to jak coś, co już znamy. Ten ochrypnięty, od czasu do czasu załamujący się głos, podobny jest do głosu Jesienina. Przekonać się o tym można słuchając, jak Jesienin recytował swoje wiersze. Jest jeszcze jedno podobieństwo. Wiersze Wysockiego pisane były z myślą o głośnym ich wykonaniu. Podobnie, według Starcewa, tworzył swoje wiersze Jesienin:

„Jesienin przeczytał mi napisaną na poczekaniu „Śmierć wilka”. Poprawki stylistyczne w napisaniu wiersza robił od czasu do czasu, w trakcie jego czytania, przysłuchując się swojemu głosowi. W tym też dniu recytował Jesienin „Śmierć wilka” w „Stajni Pegaza”. Wracając do domu, już po recytacji, dodał: Niepotrzebnie napisałem: „Czarne wnętrza używają się z więzów”. Niezrozumiałe. Lepiej będzie — „Ponure wnętrza”.

Sposób publicznego występowania

Wysockiego to naiwna maniera wykonywania ludowych pieśni i piosenek, oratorska recytacja. W tym tkwił nowym wykonawcą Wysockiego. Problem połączenia rytmu z oratorską intonacją rozwiązał Majakowski. Opanowanie problemu połączenia rytmu i intonacji — lirycznej intonacji folkloru rozpoczął Jesienin, a w na-

WŁADIMIR KASATKIN

Wołodia Wysocki już nie zaśpiewa

szczych czasach sięgnął do tego Wysocki.

Interesujące jest porównanie, jak Jesienin recytuje „Śmierć wilka” a Wysocki śpiewa „Polowanie na wilki”. Oba poeci, w odróżnieniu od zwykłej, aktorskiej manieri interpretacji, swoje utwory bardziej „ogólniają”. Duże wrażenie robią nie tyle oddzielne wiersze, co cały utwór.

Dlatego ja w ogóle piszę o zmarłym Włodzimierzu Siemionowiczu Wysockim? Czy mam wspomnienia, które należałoby opublikować? Czy spotykałem go często? Zaledwie kilka razy. I byłem po prostu jednym z wielu jego dalszych znajomych. Czy miałem z nim jakąś znaczącą rozmowę? Była jedna, ale może być ona przedmiotem odrębnej pracy, lub spektaklu o Wysockim.

Spotykałem Wysockiego w ostatnich dwóch latach jego życia. Pamiętam piosenkę: „Ach, Wania, Wania, razem włożymy się po Paryżu”. Do tego okresu odnoszą się moje spotkania z

Wysockim. Stojąc teraz na Waganowskim cmentarzu, gdzie odbył się pogrzeb Wysockiego, rozumiem, że ta moja pośpieszna pisanina jest rozmowa z tymi, którym droga jest twórczość Wysockiego. Jest prośbą, aby zebrano to wszystko, co pozostało po nim w poezji, teatrze i filmie.

Biełłinski, określając ludowość w sztuce, pisał: „Poeta ludowym jest ten, którego zna cały naród, jak Francja zna „wójno Berangera”. Któż nie znał Wysockiego i nie oddawał mu należnego szacunku? Przypomnijmy sobie jego pieśń: „Wzywaj mnie do siebie wielcy ludzie, ażeby im śpiewał” i „Polowanie na wilki”.

O Wysockim można napisać baśń. Jego osoba osnuta jest legendami, anegdotami. Wpływało to z jego czysto rosyjskiego charakteru i nie można tego lekceważyć — całej tajemności, jaką miał, przeczuć bliskiej śmierci, jakie go prześladowało i o czym śpiewał w piosence „Czyje życie skończyło się tragicznie”. Wysocki nie był człowiekiem zaradnym, bardziej starał się pomóc przyjaciółm, niż sobie: „Nie odjechałem i nie przyszedłem do ciebie, dalekiej podróży” — śpiewał. Zamroczenie alkoholowe, chandra, ekstaza, gitara — a mimo to twórcza różnorodność za-

równy w poezji, w teatrze i filmie. Tego rodzaju różnorodna twórczość wydawała się niektórym rzeczą dziwną i dlatego nie doszukiwano się w tym wielkich wartości. W ostatnich latach alkohol stał się jego przyzwyczajeniem. A potem przechodziła chandra, poczucie braku własnej wartości. „Powiedzieć sobie: rzucić piśnię” — i uspokajając siebie, Wysocki pograżył się w pracy teatralnej. Jego rolę znane są w całej Europie (w 1978 roku w Paryżu spektakl „Hamleta” zdobył pierwszą nagrodę francuskiej krytyki). W tym sezonie występował w Paryżu ponad 200 zespołów teatralnych z całego świata (Wysocki brał udział w składance „Metropoli” i pewnego pięknego dnia znalazł się w Ameryce).

Znakomita pieśń Wysockiego „Miałem sen” — nagrana przez niego w Nowym Jorku — zabrzmiała tragiczną ironią na falach eteru w dniu jego śmierci.

Po powrocie z Ameryki, bardzo chory Wysocki przeżył jeszcze dwa lata. Chciał żyć w sposób ustabilizowany, ale nie potrafił.

Cała tragedia Wysockiego polegała na tym, że był świetnym poetą i piosenkarzem, a jednocześnie człowiekiem o coś walczącym, świetnym artystą, który nie mógł pogodzić się z sobą, szukał zbawienia wśród przygodnych przyjaciół, w tanich knajpach. Nie chciał być „pozytywną osobistością”. Jego heroizm polegał na tym, że odważył się nazwać po imieniu pospolitość i trywialność naszego szarego, codziennego życia. Poezja Wysockiego to poezja wirtuozowskiej zabawy i tragicznego załamania. Język pozbawiony napuszonej literackiej — jest autentyczny. Gwara

WSPOMNIENIA

ludowa, agro, moskiewskie i kamczackie powiedzonka układają się w formie pieśni i stają kolokwialnymi zwrotami.

W czasie, kiedy w sztuce królowała piosenka abstrakcyjna w twórczości i życiu Wysockiego pojawił się tłum zwykłych ludzi, lotników-frontowców, samotnych kobiet, rozpustnych niepokoi, recydywistów. Pod dźwięki gitary Wysockiego ożyli ludzie i sytuacje: jego pieśni to niewyczerpane źródło różnorodnych typów, charakterów, sytuacji.

Słuchając, jak Wysocki interpretuje swoje utwory, ma się wrażenie, że poeta do czegoś przygotowuje się i wszystko co jest słyszalne, spotrzegamy poprzez jakąś zasłonę. I nagle Wysocki uchyła jej, ukazując inną scenę, jak sam mówi — „drugie dno”. Zwierzę ma symbolizować poniesienie i podłość, klatka — jest to chwyt stylizacyjny.

Kiedy zmarł Jesienin, Majakowski pisał: „Sierioża jako fakt literacki — nie istnieje. Jest poeta — Siergiej Jesienin. Tak należy o nim mówić”.

Parafrazując Majakowskiego, można powiedzieć, że śmierć Wysockiego stała się nie tylko i nie na tyle faktem teatralnym, co przede wszystkim faktem literackim.

Jest poeta-bard, Włodzimierz Wysocki, a dopiero potem aktor teatralny i filmowy.

Przełożyła:

BOŻENA OGRODOWCZYK

WŁADIMIR WYSOCKI



Na wspólnych mogiłach krzyży się nie stawia.
Na nich nie płaczą wdowy.
Czasami ludzie obcy przy nich staną,
Wznieca ogień jak kwiat purpurowy.

Niegdyś tu ziemia od żaru konała.
A teraz jest pas granitowy.
Nie nastal czas co mógł określić martwe ciała,
Choćby jednym oddzielnym słowem.

A w wiecznym ogniu — ten czołg płonący,
Zwężone rosyjskie chaty i śmierć ognista.
Woronieży.

Tam Berlin w gruzach ginący
I spopielałe serce żołnierza.

Nad wspólną mogiłą mało kto modły odprawia.
Przyjdą ludzie, pomilczą, odejdą.
Na wspólnych mogiłach krzyży się nie stawia.
Ale czy bez nich jest lepiej nam?...
PÓŁNOCNY TROLEJBUS

A kiedy nie mogę pokonać swych klęsk,
Gdy nocą przychodzi zmartwienie,
W błękitny trolejbus wskakuję i wiem:
Nadeszło zbawienie.

Ostatni trolejbus przez Moskwę już mknie
I krąży wśród ulic zamglenia,
By zabrać rozbitków północnych i mnie
Wyzwolić z cierpienia.

Idąc ulicą otworzę swe drzwi;
Ja wiem, że wśród wilej północy
Postacie zblakane nie odmówią mi
Swej ludzkiej pomocy.
Ja z nimi nierzaz już gubiłem swój żal,

Wśród nich było me pokrzepienie;

Jak wiele dobroci tam każdy mi dał
W tym nocnym milczeniu.

Północny trolejbus przez Moskwę wciąż mknie,
A Moskwa odpywa jak rzeka
I myśl o mych klęskach opuszcza tu mnie,



Ucieka, ucieka...
Ech ty wojno przekleństwo! Chłopcy poszli
I uciekli nasze podwórza.
Oni nagle dojrżeli, wyrośli
Po to by się w ziemi zanurzyć.

Postarajcie się wrócić niedługo!
Już na drogach nasi żołnierze...
Wiosną gdzieś wyrzuci kości przegięte,
Gdy ich śmierć dziewczętom zabierze.

Nie chowajcie się, strzelajcie do wroga,
Który czeka, by życie wam skrócić.
I tak samo zakurzona droga
Postarajcie się chłopcy wrócić!

I poszli, wojno ty przekleństwo!
Zamiast wesel — różdżka i dym.
Słubne białe suknie nasze dziewczęta
Już oddały młodszym siostronom swym.

Od buciurów żołnierskich nikt nie uciek!
Także od zielonych pagonów...
Lecz nie wiercie oszczercom, peronujcie
Wróćcie, tam czeka ktoś na sponie...

Niech gadają, że nie trzeba pamiętać,
Ze wojna nie trzeba się smucić...
Do widzenia, dziewczęta. Dziewczęta,
Postarajcie się do nas wrócić!

Przełożył:

ROMAN GORZELSKI

KONTAKTY

wydana została bardzo starannie, efektywna szata graficzna zawdzięcza Andrzejowi Kabale, a redakcję Tadeuszowi Chrościelewskiemu, który obok np. H. Gaworskiego, T. Giegiera, E. Karpuk, J. Wilmańskiego należał także do grona tłumaczy.

Zachęcam wszystkich zainteresowanych poezją do sięgnięcia po tę publikację. Daje ona rzadką na naszym rynku wydawniczym okazję do, z konieczności pobieżnego, ale jednak reprezentatywnego wglądu w specyfikę, tematykę i nastrój poezji tworzonej w zaprzyjaźnionym mieście.

ELŻBIETA
PŁUCIENNIK-
KORZENIOWSKA

„Znam brzmienie słowiańskiej mowy” — wiersze poetów Iwanowa Wład, TPPR w Skiernewicach oraz UW w Skiernewicach.

TEATR

Powód, dla którego Teatr Nowy sięgnął po niedobrą sztukę Loleh Beilon pt. „Czwartkowe damy” może być tylko jeden. Sztuka ta ma trzy duże role kobiece i to stanowić może atut atrakcyjny dla każdego zespołu aktorskiego. Każdy bowiem zespół z zupełnie niewiadomych skądinąd przyczyn składa się w swej przeważającej części z pań, a panom ze względu na trudność wcielenia w rolę nie dawała ani nadmiaru, ani nawet wystarczającej ilości mogących je usatysfakcjonować zajęć i ról. Na tzw. sztuki kobiece teatry rzucają się z ochotą i nadzieją zazwyczaj nieproporcjonalnie większą niż tkwiana w tych sztukach artystyczna wartość. „Dom kobiet” Zofii Nałkowskiej jest wyjątkiem dość dwuznacznie potwierdzającym tę regułę, dwuznacznie, bo sztuka ta dawno już przestała cieszyć się powodzeniem publicznym.

Autorka „Czwartkowych dam” jest aktorką i z własnego doświadczenia zna ten bardzo delikatny problem. Napisała więc sztukę „na trzy głosy kobiece”, a jedynie w niej głos męski potraktowała jako marginalny, choć dramatycznie ról owego jedynego mężczyzny jest w jej utworze o tyle istotna, że jego to wła-

nie postać jest katalizatorem i stymulatorem zarówno działań jak i psychik trzech pań. Loleh Beilon jest aktorką wybitną, ale autorka — w moim przekonaniu — słaba. Jej sztuka razi podstawowymi błędami warsztatu dramaturgicznego. Z banalnych choć poważnych poświęceń spraw dialogów trzech pań, które każdego czwartku spotykają się w mieszkaniu jednej z nich, jawią się trzy niesłychanie schematyczne i zbyt grubo kreską rysowane portrety. Trzy damy zdumiewają nas nader niemiłym brakiem psychicznej głębi i choć kreujące je aktorki czynią wszystko, by tę ułomność sztuki jakoś stonować, to przecież uczynić można było wiele, bo tekstu zmienić się nie da, a akcją, którą można by jakoś „rozegrać” po prostu nie ma. Wadliwa konstrukcja dramaturgiczna banalnych dialogów i równie banalne choć pozornie bliższe nam wszystkim przesłanie filozoficzne „Czwartkowych dam” — to wszystko winno na niekorzyść rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości, jakie stanęły przed teatrem w momencie podejmowania tej decyzji repertuarowej. Skoro jednak sztukę tę wprowadzono na scenę, wypada nam zająć się analizą i oceną tego kształtu inscenizacyjnego, jaki nadała mu Wanda Laskowska, która wyreżyserowała „Czwartkowe damy” Barbara Jankowska, autorka oprawy scenograficznej oraz panie: Urszula Modrzyńska, Barbara Walkówna i Kazimiera

Nogajówna w rolach „czwartkowych dam”.

Sceniczna realizacja sztuki Loleh Beilon — powiedzmy to od razu — także nie wzbudza zachwytu. Wanda Laskowska nie znalazła nieszczęśliwie skutecznego ani po prostu dobrego sposobu i podobnie jak autorka sztuki zupełnie nie poradziła sobie ani z wybitnie narracyjnym charakterem dialogów, ani z ich retrospekcyjnymi partiami. Rażąca nieporadność w scenicznym kompozycji tych fragmentów i ich — miejscami — trywialność jest największym i podstawowym mankamentem inscenizacji. Cała sceniczna kompozycja sytuacyjna szkokuje skrajnościami, w większości bowiem poszczególne sceny zupełnie pozbawione jest śladu jakiegokolwiek inwencji reżyserskiej, obok zaś mamy sceny inwencji reżyserskiej węż zażdziwiającej, tyle że niezbyt młde. Ten brak reżyserskiej decyzji inscenizacyjnej postawił spektakl na przedziwnym pograniczu między psychodramą a bulwarówką, że zaś te dwa teatralne gatunki nigdy się ze sobą nie stykały, przede wszystkim to do czynienia w gruncie rzeczy nie tyle z pograniczem, ile z olbrzymią przepaścią. Od upadku w tę przepaść nie uratowała inscenizacji „kobieca” (cała w falbankach) scenografia Barbary Jankowskiej, ani wysilki aktorek. Scenografia sugerująca widziwizję, iż przez słowianową dziurkę od klucza podgląda on czwartkowe spotkania bohaterek w „uroczu”

zagranym mieszkaniu, sprawia wrażenie jakby jej autorka w takim samym stopniu nie mogła zdecydować się na wybór określonej konwencji plastycznej. I tak chyba jest w istocie. Tego samego dowodzą zupełnie nieokreślone propozycje aktorskie, w których co prawda

CZWARTKOWE

co chwilę jakiś motyw działania bądź cecha charakteru biorą górę, ale bez tego skutku, który każda z postaci uczyniłaby z jednej strony bardziej określoną, z drugiej zaś — bogatą w warstwie psychologicznej. Stworzone przez trzy aktorki portrety są w większości tak jednoznaczne, że aż banalne w swojej natrętnej jednoznaczności. Urszula Modrzyńska, której bohaterka wydaje się być postacią najbardziej skomplikowaną najbardziej po kobiecie rozumiejącą wewnętrzną, nie udało się wyjść poza dość natrętne minoherie i kokieterie niestosowną i nieprawdziwą w momentach silnego napięcia dramatycznego. Kazimiera Nogajówna

